Stanisław Srokowski

MIASTA I LUDZIE PRUS WSCHODNICH

BIBLIOTEKA · POPULARNO · NAUKOWA + SERIA: ZIEMIE · ODZYSKANE +



MIASTA I LUDZIE PRUS WSCHODNICH

STANISŁAW SROKOWSKI

MIASTA I LUDZIE PRUS WSCHODNICH

PAŃSTWOWE ZAKŁADY WYDAWNICTW SZKOLNYCH

WARSZAWA 1946

BIBLIOTEKA POPULARNO-NAUKOWA
SERIA: ZIEMIE ODZYSKANE
pod redakcją Dra St. Helsztyńskiego

Zatwierdzone pismem Ministerstwa Oświaty Nr VI — 412/46, z dnia 2 kwietnia 1946 r., jako lektura pomocnicza, zalecona do bibliotek szkolnych.

Podpisano do druku dnia 15. XI. 1946 r.
Ark. druk.: 5 1/4
Naklad 10.000 egz.
Zamówienie Nr 497

2009 Tłoczono w Drukarni św. Wojciecha pod Zarządem Państwowym w Poznaniu. K-17415

MIASTA MAZURSKIE

EŁK, PISZ (JAŃSBORK), SZCZYTNO, NIDZICA (NIBORK), OSTRÓDA, PASYM, MRĄGOWO (ZĄDZBORK), MIKOŁAJKI, GIŻYCKO (LEC), WĘGORZEWO (WĘGOBORK), OLECKO.

Nazwa „Prus Wschodnich" jako obszaru geograficznego, wyróżniającego się od innych, zjawia się bardzo późno, bo przejściowo w r. 1815, a na stałe dopiero w r. 1877. Polacy w dawnych wiekach zwali ten kraj „Prusami Książęcymi" a częściowo Warmią i Powiślem, które znowu dość dobrze pokrywało się z pojęciem województwa malborskiego. Stara natomiast jest sama nazwa „Prus" jako ziemi zamieszkałej przez lud pruski, który w ciągu wieków XIII do XVI został przez Niemców częściowo wyniszczony a częściowo zniemczony. Siedziby tego ludu, zajmującego się rolnictwem, lecz mimo to wojowniczego i okrutnego, nie obejmowały atoli nigdy całego terytorium Prus Wschodnich w tych granicach, w jakich zastały je obie wojny światowe. Prusacy, językowo i rasowo pokrewni Litwinom i Łotyszom, a może także i dawnym Celtom, zajmowali tylko obszary nad Zalewem Fryskim z Warmią i Sambią. Resztę Prus Wschodnich zamieszkiwali Litwini i sąsiadujący z nimi na południu Jadźwingowie, Galindię znowu, stanowiącą pogranicze kraju na przestrzeni od Drwęcy do Pisy, Słowianie. Ludność słowiańską, choć pod panowaniem Prusaków, widzimy również na wschód od dolnej Wisły i Nogatu aż po Pasłękę. Prusacy zagrażali prócz tego stale na zachodzie takim ziemiom, jak lubawska lub chełmińska, na wschodzie zaś tak samo niepokojąco działali Jadźwingowie odnośnie do wschodniego Mazowsza i Podlasia.

Wszystko to zmieniło się bardzo, gdy w pierwszej ćwierci wieku XIII przybyli do Prus Wschodnich Krzyżacy, czyli ryce-

rze niemieccy Zakonu Panny Marii. Prusacy, zresztą z wybitną pomocą książąt polskich, zostali pobici, ujarzmieni i silnie przetrzebieni, Jadźwingowie wytępieni, a Niemcy w krótkim czasie tak spotężnieli, że z miejsca zaczęli zagrażać Polsce, której raz po raz wydzierali lub wydrzeć usiłowali jakieś części jej terytorium. I stan taki trwał aż do początków wieku XV, kiedy Polska, związawszy się unią z Litwą, posiadła wreszcie dość sił do przeciwstawienia się napierającemu żywiołowi niemieckiemu. Wówczas przyszło do rozstrzygającego starcia orężnego i do sławnego pogromu Niemców w bitwie pod Grunwaldem (15 lipca 1410 r.), który zatrzymał na długo, bo aż na trzy wieki, postępy niemieckiej kolonizacji i niemieckiego oręża na wschodzie Europy. Dalszym etapem na tej drodze pogromu niemczyzny było zdobycie w trzynastoletniej wojnie (1454—1466) stolicy krzyżackiej, Malborka, włączenie do krajów monarchii jagiellońskiej Warmii i Powiśla z Elblągiem oraz zhołdowanie sobie przez Polskę reszty kraju zrazu jako państwa zakonnego, a od r. 1525 jako świeckiego księstwa pruskiego. Ale ów stan zależności Prus Książęcych skończył się w r. 1657, kiedy Polska, osłabiona wojną ze Szwecją i z wszystkimi prawie ościennymi państwami, była zmuszona ustąpić ze swoich praw i przyznać Prusom, rządzonym przez elektorów brandenburskich z dynastii Hohenzollernów, zupełną niezależność. Prusy stały się w ten sposób zawiązkiem najbardziej nam wrogiej potęgi i akcji niszczycielskiej. Prowadziły ją one przez całe stulecia, aż wreszcie za dni naszych doczekały się ponownego pogromu, który wyrzucił niemczyznę nie tylko z obszarów nad Niemnem i Pregołą, ale również i znad dolnej Wisły aż po wielką strugę Odry i Nisy Łużyckiej. Prusy w wyniku wojny w znacznej części przypadły Polsce i stały się terenem polskiego osadnictwa o tyle tu łatwiejszego niż na wielu innych obszarach, że na miejscu pozostała jeszcze z dawien dawna osiadła ludność polska, tzw. Mazurzy, Warmiacy i Powiślanie. Żywe są też ciągle jeszcze te związki, jakie przez całe wieki, mimo wszelkich zabiegów

czynników niemieckich, łączyły kraj z Polską, która w Prusiech Wschodnich, a szczególnie na Warmii, zapisała jedną z najpiękniejszych kart swojej działalności kulturalnej. Prusy Wschodnie, mimo grubej warstwy nalotu niemieckiego, gromadzonego tu przez wieki całe, są ciągle jeszcze krajem polskim, jak np. Katalonia hiszpańskim lub Bretonia francuskim, bo polski jest miejscowy krajobraz, stosunek uczuciowy znacznej części ludności do ziemi i ogrom przeżyć aż do pamiętnego plebiscytu z lipca 1920 r. włącznie. Wysuwany on bywa zawsze przez Niemców jako argument przeciwko nam i traktowany jako pogrom moralny polskości, ale niesłusznie, bo w ówczesnych warunkach i stosunkach, w jakich znajdowała się Polska, głosowanie nie mogło było dać innego wyniku jak ten, który został osiągnięty. Wszak na terenie plebiscytowym została cała maszyna administracyjna niemiecka. To wystarcza!

Nie wszyscy przecież są bohaterami zdolnymi do podejmowania z nią walki, już z góry zresztą, wobec rażącej nierówności sił, skazanej na niepowodzenie.

W Prusiech Wschodnich najwięcej polskości przechowało się na wsi, bo tam z natury rzeczy wpływ czynników antypolskich nigdy nie mógł być tak silny, a nade wszystko tak wieloraki jak w miastach. Niemniej jdenak i miasta, zwłaszcza na południu kraju, nie wyzbyły się jeszcze zupełnie swoich związków z polskością. Odnosi się to szczególnie do czterech miast „mazurskich", za jakie uchodzić mogą Ełk, Pisz, Szczytno i Nidzica. W dni targowe, gdy miasta te wypełniają się polskim ludem, robią zawsze wrażenie tak nam bliskich, że zapomina się tam zupełnie i o byłym kordonie granicznym i o całym aparacie niemieckiej przemocy, pod którym te okolice już od wieków żyć musiały. Przypatrzmy się im bliżej!

Ełk leży nad miejscowym jeziorem i na wyspie wznoszącej się ponad poziom tego dość dużego zbiornika wód. Założony w r. 1390 przez komtura z Balgi, wielokrotnie niszczony

przez pożary i burzony w związku z wojnami, jakie Zakon prowadził z Polską, dopiero w r. 1669 uzyskał pełne prawa miejskie. Był zawsze miastem, w którym ogniskowała się myśl polska na Mazurach. W każdym razie tu najwcześniej zapuściła ona swoje korzenie. Ełk pielęgnował zawsze tradycje miejscowego działacza polskiego, rodem krakowianina, żyjącego tutaj w XVI wieku, drukarza i pastora Jana Małeckiego (Maletiusa), który w sąsiedniej wiosce Maleczewach w r. 1536 powołał do życia drukarnię, drugą czy trzecią z kolei w Prusiech. Pozwoliła ona Małeckiemu na opublikowanie wielu druków polskich, a także wywarła nie mały wpływ na działalność miejscowej szkoły średniej, przygotowującej do uniwersytetu w Królewcu. Szkoła ta w r. 1812 przemianowana została na gimnazjum, istniejące do dnia dzisiejszego. W ogóle w Ełku w zakresie szkolnictwa działano od dawna i zdziałano bardzo wiele. Szkoda tylko, że w tym polskim kraju wszystko obmyślone zostało na wyniszczenie polskości przez zupełną germanizację. W Ełku, obok państwowego gimnazjum ze szkołą realną, istniało miejskie liceum, duża szkoła zawodowa, gospodarska, rolnicza, a czasowo także seminarium nauczycielskie.

Ełk jest pełny dobrze zbudowanych domów i od dawna posiada wszystkie nowoczesne udogodnienia, jak wodociągi, kanalizację, światło elektryczne i inne. Co go na pierwszy rzut oka charakteryzowało, to wielka zawsze ilość wojska, którego kasarnie, leżące niedaleko dworca kolejowego, zajmowały dwa potężne kwartały, przedzielone ulicą. Niemcy nazwali ją ulicą generała Yorka. Istniała oczywiście także ulica Hindenburga i równoległa do niej Bismarka. One to wraz z ulicą cesarza Wilhelma stanowiły trzon miasta, otaczającego swoimi zabudowaniami również dworzec kolei południowej, której Ełk zawdzięcza cały rozwój w drugiej połowie wieku XIX, jak również współczesny. Wszystko tu jednak oddychało prusactwem i tą osobliwą atmosferą prowincji pruskiej nie znoszącej żadnego odstępstwa od raz ustalonego szablonu. Nic przeto dziw-

nego, że gdy przyszedł moment próby i gdy w dniu 11 lipca 1920 r. rozstrzygały się losy Ełku co do jego przyszłej przynależności państwowej, aż 8.339 głosów oświadczyło się za Niemcami a tylko 7 za Polską.

Duchową jakby kolonią Ełku jest Pisz, leżący nad Pisą Mazurską i jeziorem Roś. Jako gródek leśny, założony przez komtura z Balgi, wspominany bywa Pisz już około 1344 r., prawa miejskie uzyskał jednak dopiero w r. 1645. Wielokrotnie palony i niszczony w związku z toczonymi wojnami, odbudowywał się przecież ciągle i rozszerzał. W pewnym okresie był nawet otoczony murami, do czego w r. 1684 dołączyły się jeszcze osłony palisadowe. Z tego wszystkiego do dni naszych jednak nic nie przetrwało, a nawet z późniejszych fortyfikacji, pochodzących z połowy wieku XVIII, zresztą dość prowizorycznych. — Mówiąc o Piszu, który czasem nosi też nazwę Jańsborka, wspomnieć można również o socynianach, wypędzonych z Polski w połowie wieku XVII. W kilku grupach przybyli oni wówczas do Jańsborka, gdzie osiedli, głównie zaś po wsiach okolicznych. Ze zborów, jakie wznieśli, nie zachował się żaden.

Trzecim miastem, z tradycji bardzo polskim, a zawsze bodaj w dni targowe tętniącym polskością, jest Szczytno, z niemiecka zwane Ortelsburg, bo zostało założone przez komtura elbląskiego, Ortolfa von Trier. Istniało już na początku wieku XIV, ale starsze od niego są okoliczne wsie polskie, które jako osady bartnicze powstały jeszcze wcześniej, bo w wieku XIII. W ogóle zaś można powiedzieć, że okolica Szczytna zawsze była tak polska, iż nawet Niemcy tu przybywający polszczyli się. W Jabłonkach, jednej z takich pobliskich osad, położonych przy drodze wiodącej do Szczytna, urodził się w roku 1644 wielki historyk niemiecki, Krzysztof Hartknoch, Polsce bardzo życzliwy i w Polsce przebywający, który zmarł w Toruniu w r. 1687.

Szczytno składa się właściwie z jednej tylko ulicy, która ciągnie się grzbietem półwyspu wchodzącego w jezioro i zakończonego starym zamczyskiem. Jeżeli Ełk był zawsze oparciem dla ruchu mazurskiego jako ognisko życia duchowego i religijnego, to Szczytno przez wiele lat było znowu miejscem, skąd usiłowały wyjść na Mazury ruchy o charakterze społeczno-organizacyjnym. Tu ukazywał się „Mazur", zacne polskie pismo, i „Głos Ewangelijny", który starał się odczepić Mazurów ewangelików od niemczyzny. Jednak z małym skutkiem, bo Niemcy umieli zabiegi polskie zawsze pokrzyżować i prawie że unicestwić.

Jeszcze mniejsze pod tym względem znaczenie w ostatnich kilkudziesięciu latach posiadała N i d z i c a, z niemiecka Neidenburg, najstarszy z wszystkich grodów mazurskich, bo założona już w r. 1310. Przynajmniej w tym roku budować zaczęto miejscowy zamek, wznoszący się na pagórku z trzech stron otoczonym przez rzekę Nidę. Ta budowla, która zresztą bardzo wiele przeszła, zachowała się dobrze aż do najnowszych czasów i jeżeli ocalała po wojnie ostatniej, należy do najbardziej zabytkowych gmachów w południowej części Prus Wschodnich. Ostatnio mieścił się tam sąd powiatowy oraz obszerne więzienie.

Nibork, dziś Nidzica, w stosunku do polskości dwa wieki temu wstecz odegrał rolę ważną i znamienną. Był to zarazem okres szczególniejszego rozkwitu życia duchowego miasta. Mianowicie w Nidzicy w XVIII wieku istniała sławna szkoła średnia, w której polszczyzny uczyła się młodzież polska z całych Prus. Coś w rodzaju małego Krzemieńca północnego. Działali tu znakomici pedagodzy, jak Czernicki i Krzysiński, równocześnie pełni poświęcenia pisarze duchowni. Samuel Czepius, superprezbiter w Działdowie, Niborku i Dąbrownie, pisał tu agendę pruską, książkę używaną podczas nabożeństw, Kassius ułożył gramatykę języka polskiego, a Jerzy Wasiań-

ski, proboszcz z Niborka, ogłosił drukiem kancjonał do dziś używany na Mazurach.

Drugi szereg miast mazurskich, położony już w głębi kraju, stanowią takie miejscowości, jak Ostróda, Pasym, Ządzbork, Mikołajki, Lec, Węgobork i Olecko.

Ostróda, najbardziej na zachód wysunięta, jest największa z tych miejscowości i najstarsza, choć nie najciekawsza, aczkolwiek, gdy idzie o położenie, jak mało która wyposażona w wielkie walory krajobrazowe. Leży w sferze działania Kanału Oberlandzkiego i posiada port na Jeziorze Drwęskim, do którego w tym miejscu uchodzi rzeka Drwęca. Szczególniejszy rozwoj Ostródy, która w r. 1861 liczyła 3.513 mieszkańców, wypada na lata 1864—1875, gdy tędy przeprowadzono szlak kolejowy Toruń—Wystruć. W rzeczonym dziesięcioleciu liczba mieszkańców miasta wzrosła o 42,5%. W chwili wybuchu drugiej wojny światowej zaludnienie Ostródy, które w r. 1925 wykazywało 16.482 osób, zbliżało się już do 20.000 mieszkańców, w czym procent Polaków był jednak minimalny.

Zamek ostródzki, jako siedzibę powołanej do życia w r. 1340 komturii krzyżackiej, zbudowano w latach 1350—1370. Przetrwał on tak do roku 1788, kiedy został zburzony przez samych Niemców, wraz z murami i basztami miejskimi dla uzyskania materiału do odbudowy zniszczonego przez pożar miasta. Ostródzie odebrało to wiele z jej wcale dużej wartości zabytkowej i wycisnęło na mieście wszelkie cechy przeciętności.

Jeżeli Ostróda zawdzięczała swój rozwój Kanałowi Oberlandzkiemu i przebiegającej tędy z południowego zachodu na północny wschód kolei żelaznej, to dziś nie duże zresztą miasto Pasym, niegdyś jednak ufortyfikowane i handlowe, było znowu wytworem żywych stosunków, jakie przez wieki całe łączyły Polskę przedrozbiorową z Warmią i Królewcem. Tędy szła bowiem niegdyś także ważna droga pocztowa z Warszawy na północ. Z chwilą upadku Polski skończył się

również i rozwój Pasyma oraz dzielącego z nim ten sam los sąsiedniego Wielbarku.

Inaczej nieco jest z Mrągowem, które leżąc wśród długiego łańcucha jezior, ciągle jeszcze zmusza ludzi do korzystania z przechodzących przez to miasto szlaków. Wartość położenia Mrągowa albo — jak je dotąd zwano — Ządzborka, jest przeto trwalszej natury, bo ugruntowana w fizycznych właściwościach okolicy i mało tylko zależna od takich lub innych stosunków, jakie zachodzić mogą w pewnych okresach między państwami i narodami. Mrągowo w latach 1895—1910 podwoiło liczbę mieszkańców i doprowadziło ją do 6.492 osób. Liczba ta w chwili wybuchu drugiej wojny światowej zbliżała się do 10.000. Podobnie trwałe, choć nie w tym stopniu co dla Mrągowa są podstawy bytu Mikołajek, „Mazurskiej Wenecji" (3.000 mieszkańców), które stanęły tam, gdzie najbardziej zbliżają się do siebie brzegi wydłużonego jeziora Tałty, połączone tu ze sobą za pomocą mostów.

Najjaskrawszym przykładem, jak się może na pewnej miejscowości odbijać energia położenia, jest jednak miasto Giżycko, założone już w r. 1335 przez komtura z Balgi, a w r. 1612 wyposażone w pełne prawa miejskie. Mimo opieki rządów pruskich, nie rozwijało się jednak prawie zupełnie. Jeszcze w r. 1817 Lec, dziś Giżycko, licząc 1.028 mieszkańców, był najmniejszym miastem na Mazurach. Dopiero gdy w latach 1844—48 uporządkowano wodne drogi mazurskie na całej przestrzeni od Węgorzewa (Węgoborka) do Pisza i gdy obok Lecu przeszła wielka magistrala kolejowa: Królewiec—Ełk—Prostki — Grajewo, zaczął się szybki i pewny rozwój miejscowości, ważnej również ze względów strategicznych, czego wyrazem było wybudowanie tu w 1½ kilometrowej odległości twierdzy Boyen. Na przesmyku lądowym przeciętym kanałem, między jeziorem Mamry i Niegocińskim położone Giżycko, ze swoimi szerokimi ulicami i placami pełnymi ładnych drzew lipowych, z portem na Jeziorze Niegocińskim i szeregiem niebrzydkich budynków, wśród których najciekawszy jest prze-

robiony w stylu barokowym stary zamek krzyżacki, robi dziś wrażenie miasta dość okazałego. Około r. 1925 liczyło Giżycko 11.000 mieszkańców, a w chwili wybuchu drugiej wojny światowej nawet nieco więcej. Ale Giżycko ze swoimi szkołami (gimnazjum, liceum, szkoła rybacka itd.) było także od wielu lat jednym z najsilniejszych i najczynniejszych ognisk germanizatorskich i jeżeli gdzie w Prusiech Wschodnich żywioł polski ustępował przed naporem niemieckim, to właśnie tutaj. Jeszcze sto lub sto trzydzieści lat przedtem granica językowa polsko-niemiecka przechodziła 20 km na północ pod Węgorzewem, a już od początku tego wieku było tak, że Giżycko stanowiło miasto prawie czysto niemieckie, a niektóre tylko wsie były polskie. Okolica, która sto lat temu wydała jednego z najznakomitszych polskich historyków, Wojciecha Kętrzyńskiego, pierwszego badacza naukowego stosunków ludnościowych Prus Wschodnich, ostatnio rozbrzmiewała prawie w pełni mową niemiecką. Podobne zresztą do tych stosunki zapanowały także w przedwojennych latach w stronie Olecka, które to miasto, otoczone wieńcem polskich wsi, podczas plebiscytu w r. 1920 jak jeden mąż głosowało przeciwko Polsce, za co Niemcy przezwali je Treuburgiem, tj. grodem wierności, albo lepiej — wiernym grodem.

Miasta ważniejsze i najważniejsze Prus Wschodnich czy to jako centra handlu i przemysłu, czy to jako głośne w historii lub z racji swoich zasług kulturalnych, leżą w głębi kraju, w jego części środkowej lub północnej. Omówimy niektóre z nich, jak Malbork, Elbląg, Olsztyn, Lidzbark, Frombork i Braniewo, a pominiemy Kwidzyn i Gąbin, bo te centra administracji — i niczego więcej — z polskością wiążą się słabiej, tak samo jak Wystruć i Tylża, może jeszcze bardziej dla nas obce. Z miast na wskroś pruskich szerszą natomiast uwagę poświęcimy samemu stołecznemu Królewcowi, choć od współczesnej Polski odcina go kordon graniczny. Królewiec zapisał się w naszych dziejach wyjątkowo złowrogo i ponuro, a prócz tego był zawsze ostoją tego, co zwano pruskim duchem i pru-

skim sposobem myślenia. Dlatego warto przypatrzeć się nieco bliżej temu gniazdu wrogich nam nastrojów, którego odcięcie od Polski będzie dla nas nawet korzystne. Prusy Wschodnie bez Królewca prędzej wejdą w orbitę Polski niż z miastem o tak wyrobionej indywidualności.

MALBORK

Na prawym brzegu leniwego Nogatu, kilkanaście metrów nad zwierciadłem jego wód, rozłożył się sławny w dziejach Marienburg, zwany z polska Malborkiem.

Ex luto Marienburg, ex saxo Buda, et ex marmore Mediolan.

Tak — Malbork ex luto, z błota, z gliny.

Wielka ceglana budowla, najeżona dziesiątkami wieżyc, baszt, wykuszów i tym wszystkim, czym gotyk obdarza ludzi i tych, co sztukę tworzą i tych, co sztuki potrzebują. Całość imponująca i rzec można, w swoim rodzaju jedyna. Jednak na wskroś nam obca. I nie nam tylko. Bo jeżeli nieśmiertelny, klasyczny Goethe, choć Niemiec, stanąwszy przed wspaniałym tumem strassburskim, ku zgrozie dzisiejszych Prusaków, nie mógł zataić „lęku przed osobliwie uformowanym, a jak szczotka najeżonym potworem", to niewątpliwie jeszcze silniej zareagowałby na widok tego, co daje, a raczej co kiedyś dawał Malbork.

Ogromne gotyckie zamczysko, główna siedziba dawnych Krzyżaków, *Ordens Haupthaus*, składa się z trzech części, górnej, średniej i dolnej. Kto zbliża się od strony Tczewa do Malborka, widzi wszystkie te ogniwa zespołu budowli, jak piętrzą się jedne za drugimi. Najdalej na południe w zabudowania miasta, mającego ciągle jeszcze bardzo starodawny wygląd, wbiega zamek górny, ku północy wychodzi najbardziej dolny i dotyka niemal trasy kolejowej, którą przelatywało przed wojną dziennie 76 pociągów, gdyż Malbork, choć minęły wieki, nie postradał dotąd całkowicie swego dawnego znaczenia.

Założony w okolicy, nazwanej przez starych Prusaków Alyem, w najurodzajniejszej stronie Pomezanii czyli polskiego Powiśla, wrósł potężnie w otoczenie. Kiedy fundowano tu stolicę Wielkich Mistrzów, leżał on poniekąd w środku posiadłości Zakonu, nad żeglownym Nogatem, który w tym czasie z jednej strony znacznie bliżej wlewał swe wody w Zalew Fryski (Vrische Hab), z drugiej zaś umożliwiał doskonałą komunikację na południe Wisłą z Toruniem, Grudziądzem i Chełmnem, na zachód z Gdańskiem, a na wschód z Elblągiem. Także nie duże już dzisiaj jezioro Drusin (Drużno), w XIII wieku, biorąc w siebie część Nogatu, rozlewało się szeroko i połączone dwukrotnie z morzem dawało dostęp w głąb sporej części Prus Wschodnich. Rozumie się, że najważniejsza, zwłaszcza ze względów wojskowych, była komunikacja wodna z Królewcem, Braniewem, Fromborkiem i innymi zamkami nad Zalewem Fryskim, a nawet Pregołą i Niemnem. Sam zaś dostęp do Malborka po suchym lądzie nie przedstawiał się zgoła łatwo. Od północy i zachodu dzięki kolanu Nogatu był on niezmiernie utrudniony, od północnego wschodu z powodu ogromnych bagnisk wprost nie do pomyślenia, tak że zostawało tylko południe i wschód, skąd można się było dobierać do twierdzy. Nie darmo przeto podziwiano niejednokrotnie tę praktyczną mądrość Zakonu, którą on ujawniał przede wszystkim w doborze obronnych miejsc, oraz tę przezorność, którą manifestował nawet w drobnych na oko szczegółach postępowania, jak również planowość, z jaką tak twardo wrastał w cudze kraje. Bo we wszystko, co czynił, wnosił przede wszystkim czynnik przebiegłego rozsądku i obrachowania.

„Jeżeli jesteś mądry, to oszukaj Panów, co rządzą Prusami"[1]), mawiano już w wiekach średnich.

Malbork miał zatem od przyrody wszystkie dane, aby stać się głównym gniazdem zbójeckiego Zakonu.

---

[1]) „Bist du klug, so täusche die Herren von Preussen".

Budowlę zaczął w r. 1274 landmistrz Konrad v. Thierberg, a już w r. 1276, a zatem zaledwie po dwóch latach pracy, była ona gotowa, bo Krzyżacy czasu tracić nie lubili. Na potrzebne rzeczy decydowali się łatwo, a to co postanowili, niemal błyskawicznie wprowadzali w czyn. Pierwszym komturem, który zamieszkiwał w Malborku ze swoim konwentem, był Heinrich v. Wilnowe.

Gdy rozwijające się wypadki i szybkie podboje Zakonu nad Bałtykiem podsunęły wreszcie Wielkim Mistrzom, rezydującym dotąd w Wenecji, myśl przeniesienia się do Prus Wschodnich, wybór ich siedziby mógł paść tylko na Malbork. Jednak zwykły zamek komtura nie potrafił zadowolić Wielkiego Mistrza. Zburzono zatem w r. 1306 dotychczasowe przedzamcze (Vorburg), przenosząc je z jego zapasami, stajniami, magazynami, fabrykami dalej na północ, i na tym miejscu dźwignięto rezydencję. Wielkiej tej pracy dokonano w niebywale krótkim czasie, bo zaledwie w ciągu 3 lat, tak że już we wrześniu 1309 roku zamieszkał w Malborku w nowej wspaniałej siedzibie Wielki Mistrz Siegfried von Feuchtwangen.

Zagadkę owego pośpiechu, tym razem, rozwiązuje jednak również smutny los Zakonu Templariuszów, który, podówczas doszczętnie tępiony przez króla francuskiego, nasuwał jak najbardziej ponure myśli także przezorniejszym rycerzom Najświętszej Panny Marii i zalecał im jak najrychlej wycofać się z niebezpiecznego południa, zwłaszcza że stosunki z użyczającą gościny Wenecją, były nienajlepsze. Pierwszym zresztą, który stanął przy tej koncepcji przenosin, nie był Mistrz Siegfried v. Feuchtwangen, lecz jego poprzednik na wysokim urzędzie, Gottfried von Hohenlohe. Zjawił się on w r. 1302 w Prusach Wschodnich, ale natrafił tu na taki opór zarówno landmistrza jak i komturów, którzy nie życzyli sobie wcale zwiększenia nad sobą dozoru, że na kapitule w Kłajpedzie oświadczył wręcz, iż wśród takich rycerzy nie chce dalej być Mistrzem. Na następnej kapitule w Elblągu (1303) wybrany został Siegfried v. Feuchtwangen.

Nazwisko budowniczego, który wznosił zamek malborski, nie jest znane. Różnymi hipotezami sięgano nawet na południe do słonecznej Italii. Jednak najniewątpliwiej budowniczym był Niemiec i to północny, bo tylko niemiecki duch mógł tak odczuwać piękno, jak to się stało w Malborku, i wprost siłą kontrastu w brzydkiej, płaskiej okolicy wypiętrzyć tak konsekwentnie tak strzeliste budowle. Jeżeli niemiecki filozof Schlegel kreacje budowniczych zwał zakrzepłą muzyką, to tu w Malborku wyśpiewano jakiś pyszny pean na cześć potężnego Zakonu, uderzano w jakiś niebosiężny akord przemożnej dumy i samopoczucia panów tej ziemi. *Macht über Alles*!

Zamek malborski, wzorem wszystkich tego rodzaju krzyżackich budowli, mieścił w sobie mieszkanie rycerzy, refektarz (Konwentsremter), wielką salę kapituły, gdzie przyjmowano rycerzy wstępujących do Zakonu i wybierano Wielkich Mistrzów, kościół, kilka kaplic itp. Poza tym w zamku środkowym znajdowały się naprawdę wspaniałe komnaty, przeznaczone dla Wielkiego Mistrza oraz niektórych rycerskich dostojników, a mianowicie wielkiego komtura, zastępcy mistrza, którego często używano do poselstw zagranicznych, i podskarbiego, w którego ręku spoczywała niepodzielnie administracja skarbowością Zakonu. Także i inni dostojnicy (Gebietiger), jak marszałek Zakonu, będący dowódcą sił zbrojnych, wielki szpitalnik i wielki szatny, administrujący szatnią i zbrojownią Zakonu, choć może mniej już związani z codziennym trybem wielkiej politycznej roboty, mieli w zamku malborskim swe oparcie oraz kancelarie, w których pracowało wielu pisarzy i rachmistrzów.

Ogrzewany centralnie, mieszczącymi się pod posadzkami sal piecami, wszędzie pełen światła, zaopatrzony w urządzenia kanalizacyjne, zamek krzyżacki w swym wnętrzu przedstawiał się nie tylko wspaniale, ale i wygodnie. Na zewnątrz był zaś groźną fortecą, otoczony bowiem Nogatem, głębokimi fosami z przepływającą wodą oraz grubymi murami, basztami i szańcami, mógł stawić opór nawet bardzo potężnej armii. Do-

świadczył tego zresztą nasz Jagiełło, skoro stanął pod Malborkiem po zwycięskiej bitwie grunwaldzkiej. Zamek broniony przez dzielnego komtura świeckiego, hr. Henryka v. Plauen, hr. Dohnę, a obok miejscowej ludności także przez 400 Gdańszczan, którzy przybyli na pomoc, wytrzymał dwumiesięczne oblężenie i lubo mocno od szturmów ucierpiał, wojsk polskich nie wpuścił. Nie pomogły też ataki polskiej artylerii, pod Malborkiem po raz pierwszy zdaje się bojowo czynnej, choć niektóre jej strzały były tak mistrzowskie, iż wspomnienie ich zapisali kronikarze. Szczególnie groźne skutki mógł podobno mieć strzał wymierzony w jedyny granitowy słup, podpierający palmowe sklepienie wielkiego refektarza mistrza. Pocisk pod postacią kuli kamiennej, wymierzony z drugiej strony Nogatu, chybił o kilka cali i ugrzązł w przeciwległej ścianie, gdzie tkwiąc do dnia dzisiejszego, jako „Polenkugel", zaopatrzony, rozumie się, odpowiednim napisem patriotycznym, budził ciągle w zwiedzających Prusakach uczucia zgrozy, nienawiści i złości. Trudno bowiem dać wprost wiarę, jak bitwa grunwaldzka z r. 1410 wszystkim im siedziała ciągle jeszcze w pamięci, jak gdyby stoczona została wczoraj. Absolutnie nie było zdaje się Prusaka, który by o niej nie słyszał, jak nie było również dnia i miejsca, w którym by o niej nie wspominano.

Gorzej z obroną Malborka poszło już Krzyżakom 50 lat później, gdy rozkład wewnętrzny Zakonu postąpił potężnie naprzód. Był to okres, kiedy mówiąc słowami historyka niemieckiego, Zakon walczył wyłącznie tylko o „nieustępliwe zachowanie swojej władzy"[1]), konwenty, nie czekając na rozstrzygnięcie Wielkiego Mistrza, składały z urzędu nawet marszałków, dostojnicy rozdawali samowolnie komturie, a komturzy toczyli znowu między sobą walki i wzajemnie się wyniszczali. Wtedy to w r. 1440 zawiązał się Związek Pruski miast i szlachty do obrony ludności przed samowolą Zakonu. Ten zaś, zamiast z fatalnej drogi, na którą wszedł, w czas nawrócić i wejść na tory reform, mimo roztropnych zabiegów

[1]) „starres Behaupten seiner eigenen Herrschaft".

Wie'kiego Mistrza Pawła v. Russdorfa, podniósł głośno typowe niemieckie hasło „*Trotz gegen Trotz*", czyli zajadłej walki domowej. Koncyliacyjny mistrz, szukający zgody wewnętrznej, przed własnymi braćmi zakonnymi musiał uciekać z Malborka w nocy do Gdańska.

Wreszcie w kilka lat potem przyszło już do otwartego zerwania miast i szlachty z Zakonem, przywołania Polski na pomoc i ostatecznej rozprawy. W czasie przeciągającej się walki z Polską Zakon musiał zastawić zamek niepłaconym najemnym wojskom, a gdy nie mógł go wykupić, oddały go one wraz z innymi fortecami w ręce polskie. Szóstego czerwca 1457 r. weszło 600 polskiej jazdy w mury niedostępnej dotąd siedziby krzyżackiej. Zamieszkał w niej pruski gubernator króla, niegdyś tajny radca Wielkiego Mistrza, Jan v. Baisen, mistrz zaś Ludwik v. Erlichshausen, jak opowiada kronikarz, gorzko płacząc, umknął na łodzi rybackiej do Królewca. Od tej chwili Malborg już nigdy nie widział Wielkiego Mistrza w swoich murach. Ten ostatni malborski wysoki rezydent krzyżacki tak zbiedniał w czasie 14-letniej walki z Polską, że gdy w r. 1466 przyszło stanąć w Toruniu przed majestatem królewskim dla ostatecznego omówienia tam i podpisania warunków pokoju, został opatrzony na ową podróż przez stany pruskie.

Malbork w ręku polskim ucierpiał bardzo niewiele, pominąwszy rzecz jasna, nieznaczne szczerby, jakie w zamczysku musiał poczynić czas i gospodarka wpuszczonych tam jezuitów, którzy tu i ówdzie podostawiali swe szpetne i niezharmonizowane z całością budowle. Forteca malborska, siedziba władz polskich, mieszcząca w sobie sale przeznaczone dla przyjmowania królów (bawili tu Zygmunt III, August II, Stanisław Leszczyński), traktowana była zawsze z pewnym pietyzmem. Tylko Szwedzi, którzy jako zdobywcy przebywali w Malborku trzykrotnie, bo za Gustawa Adolfa, Karola Gustawa i Karola XII, obeszli się swoim zwyczajem z zabytkiem źle i spowodowali pewną ruinę, więcej zresztą dając się we znaki

palonemu i burzonemu ze względów strategicznych miastu niż zamkowi.. Jednak całość zamczyska w względnie dobrym stanie przetrwała aż do chwili pierwszego rozbioru Polski i zajęcia Malborka przez Fryderyka II w dniu 14 września 1772 roku.

Na rządach pruskich mieszczanie malborscy zawiedli się srodze. Wręczono wprawdzie magistratowi wielki złoty medal wybity na pamiątkę zajęcia miasta z napisem „Regno redintegrato fides praestita Mariaeburgi MDCCLXXII", ale równocześnie wpakowano ubogiemu mieszczaństwu na kark duży garnizon pod postacią całego pułku oraz odebrano to uprzywilejowane stanowisko, jakie za czasów polskich miał Malbork wobec innych pomniejszych miejscowości zachodniopruskich. Najgorzej jednak wyszedł zamek, gdyż Prusacy nie mieli nic pilniejszego, jak wziąć się do bezprzykładnego wprost w dziejach cywilizowanego państwa niszczenia zabytku, gdzie zrazu urządzono kasarnię a potem tkalnię, a wreszcie potraktowano całość jako kamieniołom i cegielnię, skąd na wszystkie strony pełną ręką czerpano materiał budowlany, zwłaszcza zaś na wznoszenie wojskowych magazynów. Przy tej właśnie sposobności porozwalano pyszne ostrołukowe sklepienia, wapienie i marmury zużyto do wypalania wapna, porozbijano pamiątkowe tablice i nagrobki, nawet Wielkich Mistrzów, słowem, gospodarowano na wzór Wandalów. Szczególnie groźny był rok 1801. Wówczas to: „wszystkie sklepienia w górnym zamku, nawet w sali kapituły i w parterze, sklepiony korytarz prowadzący po północno-wschodniej stronie od sali kapitulnej do drzwi kościelnych wraz z obiema granitowymi kolumnami, które go podpierały, w narożniku północnym prastarą salę tortur, znowu w zamku środkowym wszystkie sklepienia, sale i pokoje w południowo-wschodnim skrzydle, w narożniku południowym wewnętrznego podwórza małą, ślicznie sklepioną kaplicę św. Bartłomieja, wybiegającą aż do fosy część bramy zamkowej od strony północno-wschodniej i ośmioboczną wieżę w kącie północnym nad fosą zamkową,

oto wszystko to zostało rozbite i urządzone na składy mąki, soli i zboża. Co więcej, starszy radca budownictwa Gilly postawił nawet wniosek, aby zamek górny i średni w ogóle całkiem rozebrać i aby ze starych cegieł wznieść nowy magazyn"[1]).

Biedota miejska, za niemieckich rządów tuląca się jeszcze tu i owdzie w nieporozwalanych z kretesem olbrzymich murach zamczyska i jego zaułkach, tak je zaplugawiła, obchodząc się bez miejsc ustępowych i kanalizacji, że gdy wreszcie po formalnym odkryciu zabytku przez Maksa von Schenkendorffa przystąpiono w roku 1817 do jego restauracji albo raczej odbudowy, przede wszystkim zaczęto od zakazu wylewania nieczystości przez otwory w sklepieniach i murach do ubikacji niżej położonych. Samego gruzu z rozwalonych nierządnie murów, wywieziono 48.000 fur.

I choć tak nieudolnie wyglądała dzika gospodarka niemiecka, nie omieszkano, całkiem zresztą po myśli obełgującej siebie i drugich mentalności pruskiej, wszystko co zamek kiedykolwiek ucierpiał, złożyć na karb tzw. polskiej gospodarki. Wystarczy przeto wziąć do ręki pierwszą lepszą książkę niemiecką traktującą o Malborku, aby się o tym przekonać i naczytać do syta o „polskich zbrodniach", „polskich barbarzyń-

---

[1]) Słowa te wyjęliśmy z dzieła Józefa v. Eichendorffa „Die Wiederherstellung des Schlosses der deutschen Ordensritter zu Marienburg", Gdańsk 1922. Ten sam tekst brzmi po niemiecku: „alle Gewölbe im hohen Schlosse, selbst die des Kapitelsaals und im Erdgeschosse, der an der Nordostseite vom Kapitelsaal zur Kirchentüre führende Bogengang, die beiden runden Granitpfeiler, die ihn trugen, sowie die uralte Tortüre an der Nordecke, im Mittelschlosse aber sämtliche Gewölbe, Säle und Zimmer des südöstlichen und nordöstlichen Flügels, die kleine zierlichgewölbte Bartholomäus-Kapelle an der Südecke im inneren Schlosshofe, der bis an den Graben hervorspringende Theil des Schlosstores an der Nordostseite und der achteckige Turm in der Nordecke am Schlossgraben — dies alles wurde zertrümmert und zu Schüttböden für Mehl, Salz und Getreide eingerichtet. Ja der Oberbaurat Gilly hatte sogar den Vorschlag gemacht, das hohe Schloss und das Mittelschloss ganz abzubrechen, um aus den alten Ziegeln ein neues Magazin herzustellen".

cach", „polskiej gospodarce" itp. A że jeden Niemiec za drugim najczęściej powtarza jak papuga, co gdzieś wyczytał lub słyszał, stąd swego czasu istny szał gniewu z racji Malborka obleciał całą pruską prasę pod adresem polskim, może także, aby z jednej strony zakryć fakt zbezczeszczenia własną ręką własnego wielkiego zabytku przeszłości, z drugiej dla wzbudzenia niemieckiego patriotyzmu i ofiarności, bo Niemiec najofiarniejszy jest wtedy, gdy nienawidzi. I rzeczywiście, drogą składek zdobyto spore fundusze na odbudowę. Równocześnie prowadzono pilne badania archiwalne, aby dojść do wiadomości, jak się miała rzecz z tym lub owym szczegółem architektonicznym przed rozwaleniem zamku. Montowano także mozolnie historię zabytku, na którym to polu pierwszym znowu i podwalinowym dziełem była książka Büschinga: „Das Schloss der deutschen Ritter zu Marienburg" (Berlin, bei Dunker 1823).

I po 22-letniej pracy oraz po wyłożeniu dużej na ów czas kwoty 146.520 talarów, nie licząc rozlicznych darów i bezpłatnej robocizny, zamek stanął. W roku 1842 minister Schön, jeden z tych głośnych i twardych Prusaków, którzy tworzyli nową potęgę nowożytnego państwa Hohenzollernów, został burgrabią Malborka, po czym rok rocznie jakaś pruska znakomitość zapędzała się pod wysokie sklepienia odbudowanego zamku, już to z potrzeby patriotycznej, już to dla manifestacji antypolskiej. W początkach bieżącego stulecia zaglądnął tu i ostatni cesarz niemiecki, Wilhelm II, aby wypowiedzieć głośną mowę antypolską i pogrozić nam krzyżacką pięścią. Wilhelm II znikł jak ów Wielki Mistrz Ludwik v. Erlichshausen, ale moda wykrzykiwania z Malborka haseł bojowych zgoła nie wygasła. I do końca, do samego pogromu Niemiec w r. 1945, Malbork stanowił ciągle centrum dzikiej nagonki przeciw Polsce, i w związku z tym raz po raz widział w swych murach zjazdy różnych szowinistycznych związków. Jest to sui generis Westminster prusactwa, że zaś, jak sami Niemcy przyznają, „we wschodnich Niemcach tkwi coś z właściwości su-

rowca pod względem fizycznym, towarzyskim i duchowym"[1]), przeto wszystko, na co patrzyły mury malborskie miało też charakter brutalnej prowokacji i ordynarnego grubiaństwa. Misternej polityki tu się nie uprawiało. Tym lepiej może dla nas. Huczące z Malborka wyzwiska pod adresem Polski nigdy nie pozwalały nam zapomnieć, że zaledwie o 100 km od Warszawy gnieździł się najzacieklejszy nasz wróg pruski.

Na zwiedzającym odnowiony zamek malborski, choć przecież sporo jeszcze jest tam murów pamiętających czasy krzyżackie, jako całość robi na ogół wrażenie czegoś świeżo wzniesionego, a niektóre części budowli rażą wprost swoim nowożytnym wyglądem. Dość wspomnieć wymuskane dachy, schody i mosty. O urządzeniu wewnętrznym lepiej nie mówić, tak iż najsolidniej i najbardziej w harmonii z dawną epoką gotycką wyglądają te sale, gdzie go prawie nie ma, jak Grosser Remter, Meisters Grosser Remter (ten „mit Polenkugel"), wreszcie Kapitelsaal. Patynę wieków zgrabniej nadano natomiast miejscom modlitwy, przeważnie obiektami otrzymanymi od różnych ofiarodawców, wśród których nie brak, niestety, księżnej Radziwiłłowej i choć mimowolnie, także i kapituły gnieźnieńskiej, albowiem podarowany przez nią jednemu z Hohenzollernów średniowieczny ołtarzyk polowy, zdobyty przez naszych przodków na Krzyżakach, umieścił Prusak na zamku malborskim.

Skoro już mowa o restauracji zabytków kultu, nie sposób nie wspomnieć i o olbrzymim posągu Matki Boskiej z Dzieciątkiem Jezus, znajdującym się w niszy, na zewnątrz absydy kościoła. Stara ta, mierząca aż 25 stóp wysokości i z daleka spoza murów zamczyska widoczna, polichromowana stiukowa rzeźba, wykładana kawałkami szkła i napuszczana różnymi kolorowymi pastami, mimo niektórych, może nawet niezłych szczegółów, jest w całości jednak czymś tak potwornym, iż ze wstrętem odwraca się od niej wzrok. Sami Niemcy przy-

---

[1]) „Dem Ostdeutschen haftet etwas von Eigenschaften des Rohstoffs an, körperlich, gesellschaftlich, geistig".

znają, że ich olbrzymi i d o l malborski, który już w r. 1410 swym niesamowitym wyglądem podobno miał płoszyć szturmujących wojowników Jagiełły, „nie jest żadną mile łagodną Madonną", ale „Królową niebios we wszystkich blaskach swojej nadludzkiej mocy", groźną, srogą, twardą i ponurą, „z bliska prawie odstraszającą"[1]). Po prostu potwór, który w swoim czasie uzewnętrzniał potęgę Zakonu, rodzaj szyldu bojowego, wystawionego ponad mury zamczyska. Winien on był świadczyć o tym, że ten, który zadrze z Krzyżakami, i na tamtym świecie nie zazna spokoju, bo i tam mają oni przemożną protektorkę.

Szczęściem, posąg nie zasłynął cudami...

[1]) „Ist keine lieblich weiche Madonna, aber eine Himmelskönigin in allen Glorien ihrer übermenschlichen Hochheit, in der Nähe fast schreckhaft".

LIDZBARK (HEILSBERG)

PERŁA WARMII

W jednym z piękniejszych zakątków Prus Wschodnich, wśród okolicy pagórkowatej i bogaciej niż inne przez przyrodę obdarzonej, rozbudowało się miasto Heilsberg. Stara osada pruska, którą zastali już wdzierający się w te strony Krzyżacy. Zwała się wtedy z staropruska Lecbargiem, skąd po polsku Licbarg albo Licbark, także Lidzbark. Kraj naokół był tu wówczas czysto pruski, co odróżniało go silnie od obszarów rozciągających się na zachód od środkowej Pasłęki i górnej Łyny, a zatem ziemi lubawskiej i sasińskiej, oraz tak zwanej Pomezanii, położonej na wschód od Nogatu, gdzie wszędzie siedzieli przeważnie Słowianie, choć czasowo znajdujący się nawet pod panowaniem pruskim. Dlatego też rdzennie pruski Lecbarg odegrał wybitną rolę w drugim powstaniu pruskim z r. 1260, które miało charakter wielkiego ruchu wyzwoleńczego. Zdobyty w r. 1261 po uciążliwym oblężeniu przez wodzów pruskich, Warmijczyka Glappo i Auktumo z Pomezanii, znajdował się odtąd przez lat 13 w ręku powstańców. Dłużej niż inne miejscowości. Wreszcie po upartych bojach zajęli osadę Krzyżacy. Teraz już na trwałe, bo ruch powstańczy z r. 1277 dalszej zmiany w posiadaniu osady nie sprowadził. Lecbarg, czyli jak go po raz pierwszy dokument z r. 1260 nazywa „Heilsberch", pozostał odtąd przy Niemcach, a mianowicie stał się własnością biskupów warmińskich, do których w zasadzie należał już od kwietnia 1251, kiedy na przestrzeni 77 mil kwadratowych stworzono podległe Zakonowi państwo i poddano je pierwszemu biskupowi w tych stronach, Anzel-

mowi (1250—1278). Trzeci z biskupów warmińskich, Eberhard z Nisy na Śląsku, podniósł w r. 1308 Lidzbark do rzędu miast i nadał mu prawo chełmińskie. Ta okoliczność, że twórcą Lidzbarka jako miasta był biskup śląskiego pochodzenia, zaważyła bardzo znacznie na późniejszych losach osiedla i jego wyglądzie. Biskup Eberhard zaludnił nowopowstający gród swoimi rodakami, Niemcami ze Śląska, którzy tam do dnia dzisiejszego ciągle jeszcze używają narzecza „wrocławskiego", jak zresztą w wielu innych miejscowościach na wschód od Pasłęki, z wyłączeniem jednak północy Warmii i okolic Reszla, gdzie panuje narzecze „kezlawskie" albo „koślińskie", pozostałość po dawnych kolonistach spod Lubeki. Że razem z śląskimi Niemcami napłynęła do Prus Wschodnich także spora ilość osadników polskich z Górnego Śląska, wydaje się rzeczą prostą i dowiedzioną. Sadowili się oni jednak przeważnie więcej na południe, w okolicy Olsztyna i Reszla, gdzie polskie dialekty jeszcze ciągle przypominają Górny Śląsk.

Na śląskie wpływy wskazuje też i architektura Licbarka, czyli Lidzbarka, zwłaszcza rynku z podcieniami, a niegdyś i gotyckim wspaniałym ratuszem w pośrodku, zniszczonym przez pożar w roku 1865 i więcej nie odbudowanym, a wreszcie i zajęcie mieszkańców, do niedawna jeszcze trudniących się chętnie uprawą lnu i wyrobem płócien na śląski sposób.

Lidzbark rozwijał się szybko. Już w wieku XIV pomyślano tam o wodociągu, który służył szczęśliwie aż do ostatnich czasów (1904), zastąpiony wreszcie przez nowożytne urządzenia; o młynach, które przetrwały do chwili obecnej; o szkołach, gdzie uczono czytania, pisania i rachunków oraz nieco łaciny, a w tzw. „Preussenschule" przygotowywano młodych Prusaków do stanu duchownego; wreszcie o ujęciu całego życia miejskiego aż do najdrobniejszych szczegółów w ścisłe, przechowywane do dnia dzisiejszego, regulaminy i prawidła, tak że o Lidzbarku wiemy pod tym względem znacznie więcej niż o innych miastach wschodnio-pruskich. Że jednak Lidzbark był od roku 1350 stale rezydencją rządzących księ-

stwem biskupów, tak jak Frombork kapituły, zdarzało się niejednokrotnie, iż ci wywierali bardzo zasadniczy wpływ na wybór radnych i burmistrzów. Miało to szczególnie miejsce za czasów biskupa Franciszka Kuhschmalza (1424—1457). W czasie wojny trzynastoletniej za Kazimierza Jagiellończyka, stanął Lidzbark po stronie Związku Miast Pruskich przeciw Krzyżakom i na tym stanowisku wytrwał aż do końca, aby ostatecznie w drugim pokoju toruńskim z r. 1466 wraz z całym księstwem warmińskim znaleźć się przy Polsce. Przy rozkładaniu w pierwszym roku wojny ciężarów finansowych, wynikłych z racji przystąpienia miasta do Związku Pruskiego, Lidzbark zobowiązał się do wpłacenia 600 marek, tj. takiej sumy, jaką uiścić miała i Orneta. W r. 1456 widzimy go znowu uczestniczącym kwotą 1.350 marek na cele wojenne.

W ciągu długich 300 lat polskiej przynależności państwowej, zresztą bardzo luźnej, bo Warmia mimo to nie stała się wcale częścią Polski, tak całe księstwo jak i jego stolica Lidzbark złożyły niejednokrotnie dowody dużego przywiązania do Rzeczypospolitej. Miało to zwłaszcza miejsce w r. 1520, kiedy Wielki Mistrz Albrecht bardzo silną, bo do 15.000 ludzi liczącą armią dwukrotnie zagrażał Lidzbarkowi, raz w dniu 15 sierpnia, próbując zająć miasto znienacka, a powtórnie w jesieni, poddając je 6-tygodniowemu oblężeniu. Wówczas na czele broniącego się miasta stanął Landvogt Jerzy von Preuck. Wielki Mistrz, po wyrzuceniu na miasto dwudziestu kilku tysięcy palnych kul i bomb, nic nie wskórawszy musiał się cofnąć, nie ośmielając się nawet na przypuszczenie szturmu generalnego. W wojnach szwedzko-polskich zrazu Lidzbark ocalał, ucierpiał jednak wiele w czasie ostatniej za Karola XII, który na zamku tutejszym przebył nawet zimę w r. 1703—04. Do niezbyt przyjemnych gości należeli również okupanci, bawiący w Lidzbarku w czasie wojny siedmioletniej (podejmowani tu przez biskupa Grabowskiego), oraz wojska napoleońskie, które w pobliżu miasta stoczyły nawet jedną z ważniejszych bitew kampanii francusko-prusko-rosyjskiej (1807).

Waga Lidzbarka jako twierdzy tkwiła przede wszystkim w jego położeniu. Opasane murami i opatrzone wieżami miasto zabudowało się na półwyspie utworzonym przez zataczającą tutaj łuk, głęboką i obfitą w wodę rzekę Łynę, w miejscu zaś, gdzie brakło tej naturalnej osłony, tj. od strony północnej, wykopano głęboki do 13½ m rów, który można było napełniać wodą.

Mury miejskie powstały już w r. 1357 i z tego to czasu, obok innych zachowanych jeszcze części obwarowań, o które na północy miasta opierają się dziś całe szeregi domów, pochodzi również wspaniała Wysoka Brama. W ogóle jest ona w tym rodzaju najbardziej monumentalnym zabytkiem wschodnio-pruskim i przypomina żywo głośną lubecką Holstentor, tylko że jej brak wysokich hełmów, sterczących na obu basztach wspomnianej bramy w Lubece. Dwie, względnie trzy inne bramy lidzbarskie, prowadzące niegdyś do miasta i zamykające sobą mosty, jako to: Kościelna, Młyńska i Zamkowa, zostały zburzone jeszcze w latach 1816 i 1818. Znikły również dodatkowe obwarowania, przy Wysokiej Bramie, usunięte w r. 1868. Że nie rozwalono wszystkiego, co świeckiemu Lidzbarkowi nadawało patynę średniowiecza, miasto zawdzięcza tylko swemu usunięciu się w cień w okresie ostatnich kilkudziesięciu lat, kiedy w Wschodnich Prusiech usilnie burzono lub przerabiano jeden zabytek po drugim. Nie mało a szczęśliwie zaważyła też tu i ta okoliczność, że do Lidzbarka późno, bo dopiero w r. 1899 doprowadzono kolej żelazną, a trzy lata wcześniej tej dawnej siedzibie świetnego dworu książąt biskupów przywrócono wreszcie bodaj skromne stanowisko miasta powiatowego, które na okres 30 lat zabrało mu miasto Guttstadt, po polsku Dobre Miasto.

Obecnie w dawnej stolicy Warmii krzyżują się trzy linie kolejowe: Cynty—Ruciany, Orneta—Bischdorf i Bartoszyce—Lidzbark. Ludność miasta rośnie jednak bardzo powoli. Gdy w r. 1864 było tu 5.827 mieszkańców, to w chwili wybuchu drugiej wojny światowej, a zatem po 75 latach, niespełna

7.000. Jak na centrum miejskie, pod względem komunikacyjnym dobrze uposażone i stolicę powiatu, chyba przyrost stosunkowo niewielki. Widać, że ciągle jeszcze działają tu te same momenty, które z jednej strony nie pozwalają Lidzbarkowi zaprzepaścić jego pięknej szaty zewnętrznej, pozostałej mu po bogatej w przeżycia przeszłości, ale też na odwrót — stać się ośrodkiem bujniejszego życia.

Z tych względów przeważnie uratowały się również przy ulicy Długiej w niezmienionym stanie barokowe domy, dwu— względnie trzypiętrowe, piękne zakątki na Kirchentor—Vorstadt lub przy ulicy Klasztornej, a przede wszystkim całe szeregi wartościowych pod względem architektonicznym kamienic w obszernym rynku z podcieniami, robiącym wrażenie jakiejś potężnej sali. Szkoda, że nie zachowały się one z wszystkich stron rynku, zniszczone przy zachodniej, wraz z domami w wielkim pożarze w r. 1865, bo późniejsza odbudowa już ich więcej nie przywróciła. Nie mało do oszpecenia placu przyczynił się też stojący w jego środku pomnik, wzniesiony na pamiątkę udałej potyczki, stoczonej pod Lidzbarkiem przez pruski pułk „czarnych" huzarów z piechotą francuską dnia 10 czerwca 1807 r. I nie winien tu tyle pomnik, jak na ciężki gust pruski zresztą dość znośny, ile przede wszystkim umieszczenie go w samym środku placu. Wskutek tego plac wydaje się mniejszy. W dodatku, z jednej strony widzialny jest tylko tył spiżowego konia i siedzącego na nim jeźdźca z chorągwią. Otaczającego pomnik kwietnika z balustradą żelazną, wyrastającego nagle z otoczenia bruków i murów, też nie można uznać za pomysł zbyt szczęśliwy.

Pomnik to jednak szczegół. Gdy idzie o sam rynek jako plac, to wrażenie pięknej całości wywołuje on i dlatego, iż z wszystkich stron zamykają go niczym nieprzerwane kompleksy w wielkiej części jeszcze stylowych domów. Tylko jeden narożnik otwiera szerszy widok, ale wzrok nie gubi się tu znowu, jak w jakimś wschodnim mieście, w przedługiej, nie interesującej ulicy, lecz spotyka na swej drodze potężny rozmiarami

gmach kościoła parafialnego. Tę wspaniałą gotycką świątynię lidzbarską wzniesiono około 1350 r. w miejscu, gdzie Łyna zatacza swój najpełniejszy łuk. Imponująco też ponad wodami rzeki rysuje się sylweta masywnej, blisko 70-metrowej wieży. W r. 1698 na polecenie biskupa Potockiego, po zniszczeniu przez piorun dawnego hełmu gotyckiego, pokryto wieżę na nowo drewnianą, lecz obitą miedzianą blachą, na cztery kondygnacje podzieloną, latarnią barokową, która doskonale harmonizuje z całością. Obniżono też wówczas dach na kościele i stworzono rzecz może nie czysto stylową ale piękną. I tak dodatnio prezentował się kościół nie tylko z zewnątrz ale i w swym wnętrzu przez długie dziesiątki lat. Nie umieli jednak tego wszystkiego ocenić i docenić współcześni Prusacy. W r. 1870 zburzono przeważną część wartościowego rokokowego wewnętrznego urządzenia świątyni, w r. 1891 przylepiono do niej, od wschodu niby gotycką dobudówkę, burząc dawną z czasów polskich, w r. 1898 dodano nowy chór z organami, a wreszcie w r. 1908 całe wnętrze na świeżo „z gotycka" pomalowano. O wszystkich tych poczynaniach estetów wschodnio-pruskich niewątpliwy znawca zabytków sztuki miejscowej, architekt Gustaw Wolf z Mrągowa, wyraża się krótko: „wydają się znawcy pożałowania godne"[1]. I inaczej być nie może, skoro miejsce prawdziwego rokoka zajął nieprawdziwy gotyk, skoro zmarnowano dorobek kulturalny poprzednich wieków. Chodziłoby tylko o to, czy w tym działaniu było więcej niechęci do polskości, czy też akademickiej i tępej oschłości. Bo, że Prusaków gryzie to niewymownie, iż cała Warmia roi się ciągle jeszcze od śladów pobytu tu Polaków i że najpiękniejsze i najpogodniejsze dzieła miejscowej architektury odnoszą się do czasów polskich, najmniejszej nie ulega wątpliwości. Dość wspomnieć taki przepiękny i ogromny kościół w Świętejlipce, zbudowany w XVII wieku ze składek całej Polski. Na szczęście, ten zabytek dotąd uszedł cało, nietknięty pruską ręką.

---

[1]) Sie erscheinen dem Kenner bedauerlich.

Mówiąc o Lidzbarku nie wspomnieliśmy dotychczas o jego najpiękniejszej ozdobie, to jest o zamku biskupim. Zajmuje on sporą przestrzeń na wschodzie miasta między Łyną a uchodzącą tu do niej rzeką Simser i stoi w miejscu starego grodziszcza pruskiego, zdobytego przez Krzyżaków około 1240 roku, a potem dwukrotnie traconego, aż wreszcie w okresie od r. 1350 do 1400 rozbudowanego w bardzo obronny zamek, który przetrwał wszystkie burze dziejowe i zachował się do dzisiaj, zmieniając tylko nieco swój wygląd w latach 1427 i 1497.

Zamek lidzbarski na swoje czasy był silną fortecą. Otoczony wodą, zostawiał przeciwnikowi możliwość ataku tylko jedną drogą, na której co krok to piętrzyła się przeszkoda, a zatem warowna brama, most zwodzony i furta wewnętrzna. Po pokonaniu wszystkich tych zapór i po zdobyciu zamku niższego, stawał oblegający w obliczu właściwej twierdzy, zamku wyższego. Ale nawet wdarcie się tam, zresztą bardzo trudne z powodu głębokiej fosy i grubych murów, nie zamykało zupełnie wszystkich możliwości dalszej obrony, gdyż zostawała jeszcze baszta[1]), chyba, że załoga, rezygnując z tej ostatniej ucieczki, wolała z murów zamkowych wydobyć się na zewnątrz tajnymi chodnikami.

Zabudowania zamku niższego służyły celom gospodarczym. Długie wieki, bo od r. 1520 do 1840, prócz tego, z jednej strony czworokątnego, obszernego podwórza wznosił się tu dom mieszkalny biskupów, tzw. zamek średni, odnowiony gruntownie i rozbudowany wspaniale w r. 1666 przez biskupa Jana Stefana Wydżgę. Jak widać ze starych rycin, choć stał blisko zamku górnego, nie psuł widoku i nie zasłaniał wyżej piętrzącego się bloku murów, tak że całość oglądana z daleka wyglądała dobrze. Dziś z ogromnej budowli ani śladu. „Pyszny budynek w r. 1772 znalazł się w stanie zniszczenia i w r. 1840 został rozebrany"[2]). Oto krótkie słowa pruskiego informa-

[1]) Bergfried.

[2]) Das Prunkgebäude geriet 1772 in Verfall und wurde 1840 abgetragen.

tora. Gruzami wspaniałego, wzniesionego ręką polską pałacu, zasypano rów od strony zamku górnego. O szczęściu tylko mówić można, że w tym samym czasie nie zniszczono także zamku górnego, który dzisiaj uważać należy za najświetniejszy pomnik świeckiej architektury gotyckiej w Prusiech Wschodnich. Wszak ówczesny, otaczany kultem półboga, starszy prezydent Prus Wschodnich, von Schön, pisał w r. 1838 do biskupa Andrzeja Stanisława von Hattena, że „zamek jest zbędnym, zaprzepaszczonym, starym budynkiem, zasługującym na sprzedaż albo na rozbiórkę“[1]).

Dzięki protekcji króla pruskiego Fryderyka Wilhelma IV zamek przecież ocalał. Pokryty na nowo dachem, choć nie uniknął pewnego oszpecenia, od r. 1859 jako zakład sierót służy celom mieszkalnym.

Najpiękniejszą część zamku stanowi jego, otoczone ze wszystkich stron krużgankami, podwórze, zresztą małe, bo tworzące prostokąt o wymiarach 20,3 na 22,1 m. Istna poezja w kamieniu. Zarówno dolne czworokątne słupy krużganków, jak i górne ośmioboczne dźwigają na sobie ostrołukowe sklepienia. Nad górnymi piętrzy się dach, ponad którym widoczne są jeszcze okna. Brama wjazdowa półokrągła. Pod całym zamkiem, mającym na zewnątrz w kwadrat z każdej strony około 40 m, ciągną się w dwa piętra piwnice o architekturze ostrołukowej. Wartościowych szczegółów zresztą pełno, gdziekolwiek rzuci się wzrokiem. Śliczne są rzeźby niektórych baz i kapiteli słupów, zdobne konsole i pyszne pilastry, a głowy aniołów, które jako zworniki tkwią w sklepieniach, uważać można po części za prawdziwe arcydzieła sztuki rzeźbiarskiej. Wmyślając się w dawny widok wnętrza gmachu podnieść także należy pełne gustu malowidła ścienne, które dopełniały wdzięcznej całości, przy czym jednak każda epoka dokonywała coraz to nowych zmian. Wielka sala[2]).

---

[1]) Ein entbehrliches, baufälliges, altes Gebäude nur noch wert, dass man es veräussere oder zur Materialienbenutzung abbrechen lasse.

[2]) Der grosse Remter.

która przy 10 metrach wysokości mierzy 27 długości i 8,8 szerokości, około roku 1400 pomalowana była z gotycka w kafle zielono-czerwone. W ciągu wieku XVI otrzymała malowidło wczesnorenesansowe. Około r.1688 biskup Radziejowski dodał fryz z herbami biskupów warmińskich, a wolne miejsca pokrył farbą czerwoną. Na początku XVIII wieku całą salę poza herbami biskupimi pociągnięto kolorem purpurowym, wreszcie ostatni książę biskup, Krasicki, polecił wszystko przykryć białym kolorem i wmalować serię widoków. Dziś malowidło doprowadzono do stanu pierwotnego z czasów gotyckich.

Malowideł nie brak też i w kaplicy położonej w południowo-wschodnim kącie zamku. Przedstawiają one sceny z historii biblijnej (Starego Testamentu). Architektura ostrołukowa dzięki obfitości ozdób barokowych przyjęła tu formy mniej surowe, całość jednak straciła nieco z powodu wadliwego oświetlenia wnętrza. Piękne freski zdobią także prześlicznie sklepioną Małą salę[1]) i kilka innych pomieszczeń. W Małej sali malowidło o motywach roślinnych ma pokrój orientalny.

Ogólne wrażenie, jakiego doznaje zwiedzający zamek, jest z jednej strony przebijająca się wszędzie mała troska o ten zabytek, a z drugiej, bardzo gruba robota rzemieślniczo-konserwatorska różnych szczegółów. Dodałbym jeszcze i to, iż wiele cennych ozdób i figur, szczególnie barokowych, rzucono do rupieci walających się po wszystkich kątach, gdy tymczasem dla niejednej byłoby miejsce nawet w muzeum. Gdym pytał dlaczego się to dzieje, nie umiano mi dać odpowiedzi. Po prostu jakieś osobliwe marnowanie wielkiego dobytku kulturalnego przeszłych wieków. Może dlatego, że jego tu tak wiele. Nie w lepszym stanie znajduje się też i stary ogród zamkowy[2]), gdzie niegdyś wznosił się pałac zbudowany przez biskupa Zbąskiego (1688—97), zburzony przez Szwedów w r. 1705. Pierścień zieleni otaczający zamczysko mimo to daje wspaniałe

[1]) Kleiner Remter.

[2]) Fürstbischöflicher Garten.

efekty, zwłaszcza jesienną porą, kiedy wszystko nabiera jakichś półtonów czerwonawo-złotych. Nigdy też bardziej jak wtedy nie odczuwa się, patrząc na Lidzbark i jego zamczysko, że stoi się przed zabytkowym i bardzo szanownym miejscem. Szczególnie bowiem dla nas Polaków Lidzbark nie może być nigdy obcym.

Tu w r. 1749 z biblioteki biskupiej, uczony i wytworny mecenas nauk, biskup Stanisław Grabowski, pierwszy z pyłu zapomnienia wydobył kronikę Galla i ogłosił ją drukiem; tu jego następca Ignacy Krasicki oddawał się pracom literackim. Tu w Lidzbarku w roku 1775 powstały jego „Myszeis" i „Monachomachia", w r. 1776 „Przypadki Doświadczyńskiego", w r. 1778 „Satyry", w r. 1779 „Pan Podstoli" oraz „Bajki i „Powieści" i tak dalej aż do r. 1786.

Lidzbark, choć nie posiadał nigdy polskiej ludności, miał jednak wiele związków z duchem polskim. Polskość dała mu i to także, że zachowawszy cechy miasta niemieckiego, nie stał się równocześnie ośrodkiem nastrojów prusackich z ich chamskim prymitywizmem i drapieżną, kasarnianą ekskluzywnością. Lidzbark poza tym, co nieuchronnie w umysły ludności wsączała szkoła pruska, nie wyrobił u siebie kultu ani królowej Luizy, ani Bismarcka, ani wielu innych herosów pruskiego Olimpu.

Komu by zaś te słowa wydały się nie dość uzasadnione, niech porówna pogodną stolicę Warmii z taką choćby np. Kłajpedą, do której wpływy polskie nigdy nie dochodziły. Stare to bowiem miasto nad Dangą i Zalewem Kurońskim, najstarsze ze wszystkich grodów wschodniopruskich, gdyż jako niemieckie osiedle miejskie istniejące już od r. 1253, nie tylko że nie umiało dla obecnych pokoleń zachować jakichś bodaj śladów patyny wieków średnich, choćby tylko w ułamkach starych murów, burząc wszystko iście po prusku; nie tylko że przespało całkowicie czasy bujnego renesansu i eleganckiego baroku, ale i w najnowszym okresie swego rozwoju, jako ważne miasto handlowe, obracające przecież milionami, two-

3*

rzyło rzeczy wręcz skandaliczne w swej pospolitości i brzydocie. Bo pomyślmy, czy w obliczu barokowego rynku lidzbarskiego byłaby możliwa taka choćby rzecz, jak nowoklasyczny ale niemniej szczeropruski, kłajpedzki pomnik „Borussii" i czy postawiony wśród dostojnych murów stolicy książąt biskupów warmińskich nie działałby tu wręcz komicznie, domagając się natychmiastowego usunięcia. Tęga dziewka w powłóczystej szacie, w hełmie na głowie, z tarczą i wojennym znakiem na włóczni w jednej ręce, drugą zapowiada komuś wbicie w brzuch krótkiego miecza. Oto treść tępo i ordynarnie zmałpowanej na różnych klasycznych gipsach bryły spiżowej, mierzącej aż 4,20 m wysokości i stojącej na tak samo prawie wysokim, krągłym, obwieszonym medalionami słupie granitowym. A przecież ów „Nationaldenkmal" odsłaniano w Kłajpedzie w r. 1907 w obecności niemieckiej pary cesarskiej i przy fanfarach całej prasy groźnego imperium.

Lidzbarkowi takich emocji i ozdób musiano oszczędzić, bo tu pług cywilizacji już za głęboko przeorał niwę sztuki i życia. Cieszymy się, że oraczami byliśmy my przede wszystkim i że jeżeli gdzie, to w Lidzbarku, podobnie zresztą jak w Fromborku lub Braniewie, okrzyczana przez Niemców „polnische Wirtschaft" zostawiła po sobie niczym niezatarte ślady rzetelnej i kulturalnej roboty.

OLSZTYN NAD ŁYNĄ
STOLICA POLSKIEJ WARMII

Jedynym krajem należącym do Rzeszy niemieckiej, który w czasie pierwszej wojny światowej ucierpiał bezpośrednio od działań wojennych, były Prusy Wschodnie. Wkraczający tu Rosjanie, płacąc równą miarą za spustoszenia dokonywane przez Niemców w sprzymierzonej Belgii, a choćby tylko za okrutne zburzenie spokojnego Kalisza, Prus nie oszczędzali. Z powierzchni ziemi znikło tu wtedy 1.500 miejscowości, rozwalono 35 miast i spalono 44.000 budynków. Południowa część Prus Wschodnich pokryła się ruinami. Jednak nie na długo! Prusacy, choć w znacznej części szło tutaj o obcy im żywioł, bo o Mazurów i Litwinów, jeszcze w czasie wojny naprawili większość szkód, a w latach 1918—1922 dokonali reszty. Wkrótce po wojnie darmo by było szukać wyraźnych śladów destrukcji. Jeżeli gdzie jakie zostały w Prusiech Wschodnich, to całkiem nieliczne i nie rzucające się w oczy. Kwota 2 miliardów marek w złocie, bo taką wartość przedstawia odbudowa, dokonana w znacznej części materiałami zarekwirowanymi i wywiezionymi z ziem polskich, zrobiła swoje. Prusy Wschodnie stały się znowu krajem dobrze zabudowanym i urządzonym.

Tu przecież należy dodać kilka słów wyjaśnienia, aby przypadkiem tego działania nie tłumaczono sobie wyłącznie chęcią jak najszybszego ulżenia losowi nieszczęśliwych mieszkańców, którym wojna zdarła dach nad głową. Jak widać z memoriałów ilustrujących sprawę odbudowy, spieszono się tak bardzo, aby w Prusiech Wschodnich w ten sposób móc przede wszystkim jak najrychlej uruchomić znowu gospodarstwo rolne i aby

„złagodzić straszliwe skutki nieprzyjacielskiej blokady Rzeszy Niemieckiej". Chodziło o owe „nadwyżki zbożowe dostarczane państwu", — którymi Prusy Wschodnie dopomagały żywnościowo ściśniętym Niemcom. Jednak jeszcze więcej zależało im na czym innym. Mianowicie chodziło o powstrzymanie ludności przed emigracją z zachwalanych i przechwalanych przez czynniki rządowe Prus Wschodnich[1]).

Zdaniem bowiem agitujących Niemców, którzy ciągle jeszcze, jak przed wiekami, zainteresowania swych rodaków usiłowali kierować ku wschodowi, Prusy Wschodnie, porównywane z sąsiednimi krajami polskimi, mają być Eldoradem kultury, dobrobytu i porządku. O tym jednak, że ten naprawdę niezły wygląd zewnętrzny wschodniopruskich osiedli, zwłaszcza małomiejskich, ale tylko wygląd, utrzymano za pomocą takich np. środków, jak w Ostródzie przez nakładanie na mieszkańców 309% dodatku gminnego do państwowego podatku dochodowego, w Reszlu 315%, w Mikołajkach 300%, w Dąbrownie 300%, w Biskupcu 290%, w Węgoborku 320%, w Olecku (Margrabowej) 300% itp., mówiono jak najmniej. Nie miało też to i wielkiego celu, bo fakty były chyba wymowniejsze niż słowa. Z nadmiaru wschodniopruskiego „dobrobytu" ludność uchodziła z kraju nie dziesiątkami, ale setkami tysięcy. W takim np. pięcioleciu 1905—1910 wyszło osób 95.864, w innych jeszcze więcej, co ostatecznie pozostało specjalnością tego kraju aż do dnia dzisiejszego. Od zakończenia pierwszej wojny światowej, względnie od r. 1919 aż do końca 1925 r., znowu 158.000 ludzi, przeważnie Niemców, robotników rolnych, porzuciło Prusy Wschodnie, przenosząc się gdzie indziej.

Znajdowało się jednak jedno osiedle w obszernej prowincji wschodniopruskiej, gdzie działo się inaczej i gdzie zaludnienie rosło w tempie iście amerykańskim. Tą osobliwą osadą było

---

[1]) „Es war zu befürchten, dass die Flüchtlinge in anderen Provinzen neue Lebensgrundlagen suchten, sich anderswo, wenn auch unter schwierigen Verhältnissen ansiedelten und dort verblieben".

miasto Olsztyn. Lat temu sześćdziesiąt kilka, tj. w momencie otwierania ruchu na nowo wówczas zbudowanej kolei Berlin-Poznań-Toruń-Ostróda-Olsztyn-Wystruć liczył Olsztyn około 6.000 mieszkańców:

w roku	1880— 7.435
„	1885—11.555
„	1890—19.236
„	1900—24.307
„	1905—27.344
„	1910—33.070
„	1913—38.000

w r. 1925 około 40.000, a wg. spisu z dnia 15.V.1939—50.400.

Na Olsztynie, lepiej niż na jakimkolwiek innym mieście wschodniopruskim, widzieć było można, co znaczą pomyślne warunki zewnętrzne, przede wszystkim zaś dogodna komunikacja. Nie będzie też to przesadą, gdy się powie, że nowy Olsztyn w pierwszej linii zbudowała kolej Berlin-Toruń-Wystruć. Bez niej wlókłby on niewesoły żywot podrzędnego miasteczka prowincjonalnego, których jest wiele nad Łyną i Pregołą. Pewne znaczenie obok tego miały również koleje lokalne zbiegające się w Olsztynie, jako to linia do Szczytna i Jańsborga, do Olsztynka i Niborka, do Ornety i Braniewa, a wreszcie do Morąga i Elbląga. Poza owymi względami komunikacyjnymi, do których i ten zaliczyć wypada, że Olsztyn leży w odległości tylko 30 km od kończącego się niedaleko Kanału Elbląsko-Oberlandzkiego, na szczególniejsze podkreślenie zasługuje okoliczność, iż miasto posiadało ogromny majątek, pozwalający mu bez zwykłego w Prusiech Wschodnich obciążania obywateli podatkami na dokonywanie ulepszeń i inwestycyj. Obok różnych cennych objektów, we władaniu Olsztyna był olbrzymi obszar 22.000 ha lasów sosnowych, po części bardzo wartościowych. Dlatego też nie wielką sztuką było tu uporządkowanie finansów miejskich, toż samo przystąpienie do budowli np. w rodzaju nowego ratusza.

Że rozrost Olsztyna był wynikiem warunków komunikacyjnych, potwierdziły to w całości rezultaty pierwszej wojny. światowej. Zważywszy bowiem, że w ostatnich trzynastu latach przed wybuchem zawieruchy światowej przybyło miastu 14.000 mieszkańców, czyli 58% zaludnienia, to rozwijając się w tym samym stosunku i po wojnie — z końcem roku 1926, a zatem po dalszych 13 latach, powinno liczyć mniej więcej 60.000. Tymczasem w r. 1925 liczba mieszkańców obracała się około cyfry 40.000 a w r. 1939 około 50.000. Na wzroście zaludnienia miasta zupełnie dokładnie odbiło się przeto przecięcie nową granicą polską jego związków z dawnym pruskim „hinterlandem", choć, rzecz prosta, nie bez pewnego znaczenia była i okoliczność, że powojenny Olsztyn na wiele lat przestał być siedzibą dużego garnizonu i generalnej komendy korpusu cesarskiej armii.

Wzrost liczby mieszkańców przedwojennego Olsztyna i charakterystyczna powojenna stagnacja w procesie dalszego zaludniania się miasta pouczają każdego nieuprzedzonego także i o tym, jak ogromny rozkwit czekałby nie tylko ten gród, ale i całe Prusy Wschodnie, gdyby były straciły wcześniej charakter zapory odcinającej od morza terytoria polskie, położone na południu. O tym jednak w Prusiech Wschodnich przez czas długi wolno było tylko myśleć, ale nie mówić lub pisać bez narażenia się na nazwę zdrajcy i ściągnięcia na siebie jak najbezwzględniejszych prześladowań. Wszak głównie terror niemiecki, stosowany w r. 1920 podczas plebiscytu, obok szczególnie w owej chwili niekorzystnego położenia Polski, uwikłanej w wojnę z Z. S. R. R., sprawił, że tak mała liczba głosów oświadczyła się przeciw dalszej przynależności do Rzeszy. Ręczyć można, że swobodne wota dałyby były inny rezultat. Wyniki plebiscytu nie ilustrują też zgoła skali napięcia poczucia narodowego wśród polskiej ludności warmińskiej, gdyż dopiero właśnie po głosowaniu, reagując na triumfy niemieckie, zorganizowano tu większość polskich towarzystw, tak gęsto potem rozsianych po całym kraju. Również mimo fatalnego wyniku

plebiscytu nie upadł warmiński polski organ prasowy „Gazeta Olsztyńska", która wychodząc od przeszło pół wieku przyczyniła się ogromnie do wyrobienia narodowych uczuć swych czytelników.

Na pierwszy rzut oka polskości w Olsztynie nie dostrzegało się jednak wcale już od bardzo wielu lat. Nic dziwnego! Niemcy są specjalistami w maskowaniu oblicza narodowościowego ziem, nad którymi panują. Przed wojną przecież i w Poznaniu nie doznawało się zgoła wrażenia, że się chodzi po najbardziej polskim mieście, tym mniej w Gnieźnie lub Inowrocławiu.

Dawną, nie dającą się zaprzeczyć, zupełną prawie polskość Olsztyna, schowanego wiekami za potężną ścianą szerokiej smugi lasów, ciągnących się tutaj na przestrzeni 70 km między Świętolipką na wschodzie a Gietrzwałdem na zachodzie i ochranianego w ten sposób od postępującej z północy kolonizacji niemieckiej, na najcięższe próby wystawił okres lat 1880—1914, kiedy miasto gwałtownie wzrastając, jako mieszkańców gromadziło przede wszystkim Niemców. Gdy w pobliskim Olsztynowi Wartemborku, któremu nic nie przerwało wiekowej drzemki, ciągle jeszcze na 5.000 mieszkańców jedna trzecia część ludności posługiwała się językiem polskim, lub w nieco większym Biskupcu jedna czwarta, to w Olsztynie w najlepszym razie jedna dziesiąta. Reszta to Niemcy z urodzenia lub renegaci. I inaczej w Olsztynie stać się nie mogło, gdy pomieszczono tu siedzibę regencji oraz powołano do życia moc urzędów i szkół obsadzonych Niemcami, jak nie mniej niemieckich organizacyj handlowych i społecznych, a także ulokowano dużą załogę wojskową. Napór zorganizowanej niemczyzny był wprost przytłaczający. Rozumie się, że jeszcze gorzej było pod tym względem bezpośrednio przed drugą wojną światową.

Ów szybki rozwój Olsztyna, który wywarł tak niekorzystny wpływ na stosunek liczebny ludności polskiej do niemieckiej, czyniąc z Polaków w stolicy polskiej Warmii nic nie znaczącą

grupę, zaważył również bardzo wybitnie na rozbudowie miasta. Uderza mianowicie jego nowość, a przy tym niezmierna banalność ulic i budowli. I musi być już źle pod tym względem, skoro sam starszy burmistrz miasta, stuprocentowy Prusak, dr Zülch, głośny z awantur, które urządzał podczas plebiscytu, w odniesieniu do nowszych olsztyńskich budowli, nawet publicznych, stwierdził, że „nie rzadko uderzają oko swoim brakiem piękna"[1]). Całość wyglądu miasta ratuje tylko obfitość zieleni i parków, względnie lasów, które zaczynają się już wśród terenów miejskich i ciągną się całymi milami. Dużo uroku dodaje także pagórkowata okolica podmiejska, spiętrzająca się w pojedynczych wzniesieniach do 140 m nad poziom morza i przecięta wstęgą rzeki Łyny.

Z nowszych budowli do udałych wyjątków architektonicznych należy ratusz, strzelisty i obszerny gmach w stylu renesansowym, niepotrzebnie jednak oszpecony dużym narożnym wykuszem, odcinającym się od całości swymi barokowymi i pospolitymi formami. Ten wykusz „rosyjski", tak nazwany ze względu na rzeźby mające związek z inwazją rosyjską z r. 1914, którymi jest ozdobiony, chciał uchodzić za rzecz godną specjalnego widzenia i każdy Niemiec olsztyński tam szczególnie rad prowadził zwiedzającego, jak w Królewcu do nieciekawej dla obcych knajpy w zamku królewskim, zwanej „Blutgericht", lub w Kwidzyniu pod ogromny krzyżacki wychodek (Dansker), złączony od strony zachodniej szeregiem łuków z zamkiem i sterczący na kształt potężnej baszty.

Obok ratusza na wspomnienie zasługuje jeszcze gmach niemieckiego teatru i niebrzydki budynek byłej regencji, imponujący jednak nade wszystko swymi potężnymi rozmiarami, gdyż front jego mierzy blisko 59 m długości a każde ze skrzydeł przeszło 80. Polskie instytucje gromadził w sobie przez długi czas obszerny Hotel International. Podobnie jak inny olsztyński hotel Reichshof, ma on swoją historię, wiążącą się z nieszczęśliwym plebiscytem, którego pamięć długie lata była tu

[1]) Sie fallen nicht selten durch Unschönheit auf.

bardzo żywa, zwłaszcza między Niemcami, ciągle z tego źródła czerpiącymi otuchę do dalszej walki z polskością i tak tu już zepchniętą w zakamarki przedmieść i niebywale zgnębioną.

Jeżeli o nowożytnym Olsztynie bez niepotrzebnego rozwodzenia się nad jego kanalizacją, wodociągami, tramwajami lub tego rodzaju przeciętnymi gmachami, jak strażnica ogniowa, elektrownia, Wilhelm-Augusta-Victoria Haus, szkoła ludowa przy Wadangerstrasse, Dom zebrań na górze Jakuba itp. nic nie da się powiedzieć, to inaczej przedstawia się ta kwestia w odniesieniu do dawnych zabytków architektonicznych.

Zapewne, że Olsztyn przeszłości, to nie światowej niegdyś sławy Gdańsk, największy swego czasu port bałtycki i jedno z najznaczniejszych miast średniowiecznej Europy, ani Toruń, który sprawował straż nad żeglowną strugą Wisły, ani Elbląg lub Królewiec. Wszystkie te miasta swój rozwój zawdzięczały jakimś okolicznościom, których Olsztynowi Opatrzność poskąpiła. Olsztyn był stale niedużym miasteczkiem i drugorzędnym centrum administracyjnym, a cała jego waga spoczywała w tym, że leżał na szlaku wiążącym basen środkowej Wisły najkrótszą drogą lądową z portami bałtyckimi i miastami hanzeatyckimi: Gdańskiem, Elblągiem, Braniewem i Królewcem, przy czym zaznaczyć wypada, że Braniewo wieków średnich, gdy wyjście z Zalewu Fryskiego na otwarte morze znajdowało się w środku mierzei Fryskiej, a nie jak dzisiaj pod Piławą, posiadało zupełnie inne znaczenie, niż obecnie. Handel tranzytowy przez Warmię ku morzu toczył się wówczas trzema drogami, które lud miejscowy do dziś dnia jeszcze umie wskazać, nazywając je „traktami warszawskimi". Jeden z nich idzie przez Bałdy, Przykop, Patryki, Skajboty, Mokiny, Wartembork i Zybork, drugi przez Butryny, Zazdrość, Jondorf, Olsztyn, Dywity i Dobre Miasto, a trzeci, zwany także „polnische Strasse" albo trakt pocztowy, przebiega przez Wielbark, Szczytno, Dźwierzuty, Biskupiec, Lutry, Bisztynek, Iławkę do Królewca.

To położenie Olsztyna na ważnych, południkowych arteriach ruchu lub w ich pobliżu sprawiło, że miasto założone stosunkowo późno, gdyż dopiero w r. 1353, a zatem przeszło w

sto lat po Elblągu, mimo groźnych pożarów (1400, 1420, 1458) i niszczących napadów Litwinów, jak w latach 1356 i 1385, rozwinęło się wcale szybko i zakwitło bogacącym handlem. Warto też wspomnieć, że kupcy Olsztyna, tak samo zresztą jak Lidzbarku i Reszla, mieli składy w Gdańsku i podejmowali dalekie podróże okrętami.

Już w roku 1400 istniał nie tylko zamek olsztyński, ale także zewnętrzny mur okalający miasto i broniący je przed napadami. I sądząc po stojącej jeszcze do dnia dzisiejszego imponującej gotyckiej wieży, zwanej Wysoką Bramą, obwarowania miejskie Olsztyna musiały być wcale potężne.

Po raz pierwszy opanowali je Polacy w roku 1410, bezpośrednio po bitwie grunwaldzkiej, a potem na początku wojny trzynastoletniej za czasów Kazimierza Jagiellończyka. Wreszcie w roku 1466, w drugim pokoju toruńskim, Olsztyn przyłączony do Polski pozostał przy Rzeczypospolitej aż do pierwszego jej rozbioru. Jak Lwów na kresach wschodnich, tak Olsztyn na północnych umiał bronić swej przynależności państwowej przeciw atakującym go nieprzyjaciołom. W roku 1521 pod kierunkiem sławnego Mikołaja Kopernika, który wówczas z ramienia kapituły warmińskiej był administratorem powiatów olsztyńskiego i melsackiego, wytrzymał skutecznie gwałtowne oblężenie Albrechta, Wielkiego Mistrza Krzyżackiego, zaś w sto lat później Szwedów. Należy przypuszczać, że w tym czasie już większość mieszkańców stanowili Polacy, którzy napłynąwszy gęsto na Warmię z Mazowsza, Chełmińskiego i z Górnego Śląska skolonizowali najpierw wieś a potem miasta.

Oprócz Wysokiej Bramy, pod względem architektonicznym zbliżonej bardzo do tzw. Heilsberger Tor w Bartoszycach, z dawnych obwarowań Olsztyna pozostały jeszcze spore kawały murów fortecznych, nade wszystko zaś zachował się bardzo dobrze starodawny zamek. Aż dziw, że Prusacy pozostawili ten zabytek w spokoju i nie zniszczyli go, jak tyle innych. Nietknięte stoi całe skrzydło północne zamczyska i południowe oraz mur łączący. W południowo-zachodnim

końcu wznosi się baszta, u dołu graniasta, u góry okrągła. Według tradycji miała ona służyć Kopernikowi do dokonywania obserwacji astronomicznych, choć potwierdzenia tego faktu nie ma. W każdym razie wydana w r. 1900 epokowa praca krakowskiego profesora, Ludwika Antoniego Birkenmajera, o Koperniku mocno kwestionuje, czy w ogóle wielki uczony dokonywał w Olsztynie jakichkolwiek spostrzeżeń. Co najwyżej miała tu miejsce jedna tylko obserwacja, tj. w dniu 12 grudnia 1518, tycząca się położenia słońca względem Marsa.

Z budowli kościelnych na plan pierwszy w Olsztynie wybija się parafialny kościół katolicki pod wezwaniem św. Jakuba. Trzynawowy gotyk, pochodzący z XIV wieku, mimo swego pięknego gwieździstego sklepienia nieporównanie więcej interesujący jest z zewnątrz, niż od wewnątrz. Przypisać to wypada poniekąd i tej okoliczności, że olsztyński kościół św. Jakuba z dawnego urządzenia zachował bardzo niewiele. Często nawiedzany pożarami, szczególnie ciężką katastrofę przeszedł w r. 1807, kiedy służył Francuzom do internowania 1.500 jeńców pruskich i rosyjskich, którzy dla ogrzania się spalili wówczas wszystkie części drewniane budowli, jakie tylko dały się odbić. Nad kościołem stercząca wysoka wieża, surowa i ciężka, wręcz forteczna, należy do typowych pomników średniowiecznego budownictwa wschodniopruskiego. Dla Olsztyna jest ona takim samym zewnętrznym, z dala widocznym znakiem, jak dla Elbląga wieża kościoła świętego Mikołaja lub dla Królewca zamkowa.

Pozostałe dwie świątynie katolickie, jak i kościół protestancki w Olsztynie, są budowlami bardzo przeciętnej wartości, nie zasługującymi na szczególniejszą uwagę, z wyjątkiem chyba odnowionej kaplicy zamkowej św. Anny, przeznaczonej na pomieszczenie lokalnego muzeum. Bo dodać należy, że Olsztyn nie był nigdy miastem przesadnie kościelnym, aczkolwiek namiestnikami jego bywali tu kanonicy. Czynniki duchowne rozumiały, że mocne mury forteczne, przy sąsiedztwie Krzyżaków, a potem książąt pruskich, to najlepsza gwarancja spokojnego żywota mieszkańców granicznego grodu.

FROMBORK
NADBAŁTYCKI WAWEL

Na północy ziemi niegdyś polskiej, gdzie Zalew Fryski silnie wcina się w głąb Prus Wschodnich, gdzie w odległości kilku zaledwie kilometrów szumią już płowe fale otwartego Bałtyku, dokładnie niemal na południku Krakowa, na straży ubiegłych wieków stanął zamek frauenburski, mówiąc z polska, „fromborski". Po raz pierwszy wspomina o nim dokument z r. 1278 jako o grodzie krzyżackim (Unser Frauen Burg), założonym na cześć patronki Zakonu Niemieckiego, Najświętszej Panny Marii. Jeszcze wcześniej był on niewątpliwie grodziszczem staropruskim, do czego szczególnie zapraszało położenie tego punktu, sterczącego jako wyniosła wydma piaszczysta na trzydzieści metrów wysoko wśród płaskiej zresztą okolicy.

Kto koleją żelazną zmierza od Elbląga do Królewca, widzi już w oddali, najczęściej spowitą w mgły Zalewu Fryskiego, na które tak gorzko użalał się już Kopernik, masę murów, a nad nią szereg smukłych wieżyc. To katedra fromborska, która, gdy idzie o jej wartość jako dzieła sztuki, bywa tak często porównywana ze sławnym kościołem Najświętszej Panny Marii w Gańsku.

I rzeczywiście co do czasu powstania jest ona prawie że rówieśnicą świątyni gdańskiej. Jakaż jednak olbrzymia różnica między tymi dwoma zabytkami. Tum gdański to architektura północy, surowa i twarda jak serca tych, z których rąk dzieło wyszło, gdy Frombork to niemal jasne południe, choć budowę zaczęto tu w r. 1329, a wykończono w 1388, a zatem w okresie, gdy artystyczne i kulturalne związki Prus Wschodnich z krajami leżącymi w basenie Morza Śródziemnego nie należały jeszcze do najżywszych.

Naokół katedry fromborskiej rozsiadły się resztki dawnych obwarowań, pośród których na szczególniejszą uwagę zasługuje niewysoka zresztą wieża Kopernika, gdzie wielki nasz rodak dokonywał obserwacyj dróg ciał niebieskich. Obok budynki mieszkalne, jak stary pałac biskupi, spoczywający na fundamentach murów fortecznych, a ostatni raz przebudowany przez biskupa Szembeka (1724—1740), wreszcie okryte starymi drzewami i cichymi ogrodami szeregi domów kanoników kapitulnych. Osobno strzela ku niebu wysoka, niezwiązana z kościołem dzwonnica, która dzisiejsze swe kształty uzyskała za czasów biskupa Michała Radziejowskiego w r. 1685.

Całość na wskroś romantyczna, nawet w tej resztce, jaka się przechowała po zniszczeniu ogromnej części zabytków za rządów pruskich. Jeszcze litografie z r. 1852 wskazują, jak to wszystko mogło wyglądać kilka wieków wstecz, kiedy Frauenburg czyli Frombork był silną twierdzą, o którą rozbijały się nieraz zapędy wrogów. Wszak od tutejszego zamku bronionego przez bardzo nieliczną załogę polską musiał w r. 1462 odstąpić z swoim trzytysiącznym wojskiem po 5-tygodniowym szturmowaniu Wielki Mistrz Zakonu Niemieckiego Ludwik von Erlichshausen. Nie inaczej też powiodło się Mistrzowi Albrechtowi Pruskiemu w r. 1520. Polska załoga i wówczas odpędziła wroga, który spalił tylko miasto i otoczenie zamku. Poza tym w Fromborku, gdzie po raz pierwszy Polacy stanęli już w r. 1414, a powtórnie w r. 1455, trzymając go silnie w swym ręku aż do zawarcia pokoju toruńskiego w r. 1466, prawie stale sprzyjało szczęście polskiemu orężowi. Pod skrzydłami Białego Orła rozwijał on się i kwitł aż do chwili najazdu szwedzkiego, który znaczy niemal epokę. Bo spustoszenia dokonane tu w r. 1626 przez Gustawa Adolfa były bezprzykładne. Szwedzi nie uszanowali ani grobów, ani biblioteki, a w niej bezcennych zbiorów po Koperniku, ani nawet ścian świątyni, skąd wyrywali ozdobne marmury i ładując na okręty, uwozili do Szwecji. Rozumie się, że tym bezwzględniej postąpili z miastem, które doszczętnie spalili, poprzednio poddawszy grabieży i najwyszukańszym gwałtom. Stąd miaste-

czko później odbudowane nie przedstawia dziś, poza kilku ciekawszymi budowlami, już większego interesu. Tym silniej zatem koncentruje on się przy katedrze.

Jeżeli potężne materialne wrażenie świątyni fromborskiej płynie przede wszystkim z jej gigantycznych kształtów, to estetyczne zadowolenie wynika znowu ze spokoju i szlachetności linij budowy czterech wdzięcznych wież narożnych i prześlicznego frontonu, a we wnętrzu zabytku z harmonii i proporcji kształtów 14 filarów, podtrzymujących palmowe sklepienie o niezmiernie wdzięcznym żebrowaniu. Pierwowzorów tych słupów trzeba szukać w angielskich zamkach i klasztorach.

Kościół jest trzynawowy. Ze starych rzeczy gotyckich, gdy idzie o pojedyncze przedmioty kultu, zostało tu bardzo niewiele. Brak zatem odpowiadających stylowi świątyni obrazów, ołtarzy i paramentów. Z nielicznych zabytków przedbarokowych zasługuje na wspomnienie pochodząca XV wieku Madonna, jedno z najlepszych dzieł wczesnej szkoły norymberskiej, powstałe pod wpływem mistrzów nadreńskich, obraz niewysłowionej słodyczy i godności, oraz późnogotycki, nie używany już wielki ołtarz, przyparty do północnej ściany kościoła. Jest to tryptyk z r. 1504, cały rzeźbiony jakby ręką Wita Stwosza. Poza tym we wnętrzu starej gotyckiej budowli rozsiadł się wszechwładnie barok. Całość atoli oddycha rzadką dostojnością, określonym dystansem i wytwornością.

I pod tym względem świątynia fromborska należy do typu owych polskich kościołów, takich jakie widzimy w Krakowie, Lwowie lub Wilnie. Gdy zaczniesz się bliżej przyglądać, znajdziesz wiecej cech wspólnych. Każdy z kilkunastu ołtarzy, wspartych o filary, przemówi do ciebie znanym ci językiem Wawelu lub Skałki, bo albo zaświeci ci w oczy herb Wazów, albo orzeł polski, albo bodaj jakaś postać świętego, którego daremnie szukać w murach zwykłej świątyni niemieckiej. Taka barokowa kaplica Szembeków, przytulona do jednej z dłuższych ścian kościoła, choć mąci surowy zespół łuków gotyckich, to przecież odpowiednik do owych licznych kap-

licznych pereł, które tak tłumnie, a tak licznie obsiadły stary tum wawelski. Piękny obraz w jej ołtarzu pochodzi z Warszawy, a na grobie pochowanego tutaj w pysznej trumnie świętego Teodora stoi kopia obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej.

Wieleż to zresztą polskich nazwisk woła w Fromborku do zwiedzającego wielkim głosem przeszłości. Tam w bocznym ołtarzu widzisz klęczącego przed krucyfiksem biskupa Szymona Rudnickiego (1604—1621), a gdzie indziej przed wielkim ołtarzem jego płytę grobowcową, tam spoczywa biskup Stanisław Grabowski (1741—1766), tam Mikołaj Szyszkowski (1633—1643), tam wisi obraz biskupa Wacława Leszczyńskiego (1644—1659), tam Stanisława Zbąskiego (1688—1697), tam kanonika Ujejskiego itd. Nad wszystkimi górują jednak pamiątki po wielkich postaciach Kopernika, Hosiusa i Kromera, które jak najściślej związane są z Fromborkiem i które same już wypełniają całe tomy historii nie tylko lokalnej, nie tylko polskiej, ale w całym tego słowa znaczeniu światowej. Szkoda tylko, że Kopernik, pochowany pod posadzką kamienną prawej nawy bocznej, licząc od wejścia przy drugim ołtarzu, nie posiada żadnej tablicy, która by mówiła przechodniowi o miejscu wiecznego spoczynku tego wielkiego Polaka. Kamień grobowy, jaki na cześć Kopernika wmurował tu biskup Kromer w r. 1581, znikł w XVIII w., aby uczynić miejsce dla portalu kaplicy Szembeków. Za to na zewnątrz zabudowań katedralnych, na stojącym na uboczu pagórku, wystawili Niemcy w r. 1909, według życzeń i wskazówek cesarza Wilhelma II, a po części i za jego pieniądze, szpetny, ale pretensjonalny pomnik, coś podobno 30 metrów wysoki w dobrze znanym typie germańskich pomników. „Kolossal und pyramidal", tu tym bardziej, że pomnik niby gotycki, zakończony szeregiem ostrosłupów.

Wszechobecność nieobecnej już tu przez sto kilkadziesiąt lat państwowo Polski, aby wrócić do tego tematu, występuje tym silniej, gdy zwrócimy uwagę na przechowywane w Fromborku paramenty. Co cenniejsze to ornaty biskupów Szembeka,

Grabowskiego, Szyszkowskiego i innych Polaków. Wszędzie polskie orły i herby.

Herb Potockich zdobi także balustradę przed ołtarzem z Przenajświętszym Sakramentem. Również najkosztowniejszy ze względu na swą wagę, a pokazywany zwiedzającym przedmiot złoty (9 funtów), figurka św. Andrzeja, był darem kardynała Radziejowskiego (1679—1688).

Pietyzmu jednak dla tych pamiątek w Fromborku w ostatnich kilku dziesięcioleciach ani śladu, a rezydujący wśród nich długie lata biskup Bludau okazał się zdecydowanym, jak zresztą wszyscy Niemcy, wrogiem polskości. Nie wyrywali wprawdzie w Fromborku polskich pysznych płyt grobowych tak bezczelnie, jak to czynili w Braniewie, gdzie zrobiono z nich cały chodnik, równocześnie doprowadzając tamtejszy kościół do prawie że nagich ścian, popstrzonych niegustownym malowidłem; nie rzucili Fromborka na pożarcie zębowi czasu, jak Lidzbarka z jego przecudnym zamkiem, gdzie również tkwi tyle polskiej myśli i czynu, ale działali tu inaczej, a mianowicie za pomocą przemilczania. Nawet oprowadzający po katedrze, zdaje się na wyższy rozkaz, uprawiali tę specjalną politykę niewidzenia wszystkiego, co mogłoby przypominać Polskę i polskie zasługi. Darmo jednak! Kto głębiej sięgnie, musi wreszcie zauważyć, że i tu, na bałtyckiej północy, byliśmy czynnikiem dla cywilizacji zasłużonym, że bez nas ten przepiękny zakątek przymorskiej ziemi wyglądałby ponuro i smutnie, jak tyle innych stron, gdzie wiekami władało bezspornie krzyżactwo. Wystarczy tylko z małym Fromborkiem porównać choćby tak duży stołeczny Królewiec, z jego ogromnym ubóstwem dzieł sztuki, aby pojąć, w jakim kierunku szły myśli naszych przodków, a w jakim władców pruskich. I to pewna, że bez polskiej pomocy nie byłoby i mowy o zachowaniu tu nad Bałtykiem uniwersalizmu katolickiego, który ma tam pewne znaczenie uszlachetniające, przeciwstawiając się bodaj w teorii wszechwładztwu pruskiej racji państwowej.

BRANIEWO

W odległości 7 km od ujścia Posłęki do Zalewu Fryskiego, wznosi się kilkunastotysięczne miasto, dziś ciche i mało wspominane, niegdyś jednak ważne i znane szeroko nad całym Bałtykiem. Jest to Braniewo, po niemiecku Braunsberg, jedno z najstarszych obok Elbląga miast wschodnio-pruskich, a pobudowane w miejscu jeszcze niewątpliwie starszej osady staropruskiej, po której też odziedziczyło nazwę przekręconą z czasem na Braunsberg. Cały sąsiadujący z Braniewem obszar, 76—77 mil kwadratowych, na przestrzeni odpowiadającej mniej wiecej dzisiejszym powiatom braniewskiemu, lidzbarskiemu, olsztyńskiemu i reszelskiemu, niemal zaraz po wejściu tu Krzyżaków, bo w r. 1251, jako $^1/_3$ diecezji oddany został biskupom warmińskm w formie księstwa świeckiego. Stanowiło to rodzaj lenna.

Zamek w Braniewie zbudowano już w r. 1240, bardzo też wcześnie, bo w r. 1254, otrzymała miejscowość charakter miejski, a pełne przywileje miasta na prawie lubeckim w r. 1284, nadane przez miejscowego biskupa Henryka Fleminga. Braniewo prawie od razu weszło również w zespół miast hanzeatyckich i ujęło w swoje ręce cały handel Warmii, zwłaszcza zbożem, przędzą lnianą i płótnem. Wznoszące się dotąd jeszcze i bodaj częściowo zachowane stare śpichlerze oraz młyny nad Pasłęką mówią nam, że musiały to być interesy rozległe. O rozległości zaś miasta, złożonego z dwóch części: Starego i Nowego, świadczą znowu resztki niegdyś okalających miasto murów, a nade wszystko niektóre budowle, jak np. ogromny katolicki kościół parafialny, jakby przykład szkolny gotyku krzyżackiego, twardego w liniach, posępnego i dziwnie surowego.

Gdy przebrzmiały czasy Hanzy i gdy miejscowe warunki handlu morskiego pogorszyły się znacznie już choćby tylko dlatego, że wjazd na Zalew Fryski wraz z przesunięciem się przeprawy przez mierzeję na północ pod Piławę stał się trudniejszy, Braniewo nie upadło przecież, bo korzystało z opieki swoich możnych opiekunów, jakimi byli stale biskupi warmińscy, jak wiadomo, począwszy od 16. wieku Polacy. Oni to, a szczególnie kardynał Hosius, wycisnęli na Braniewie jeszcze silniejsze nawet piętno niż czasy średniowieczne. Stojący do dnia dzisiejszego wspaniały wczesnobarokowy gmach Lyceum Hosianum świadczy, jak potężna była ta opieka i jak wiele miastu dawała. Lyceum Hosianum, które rozwinęło się z założonego tutaj przez Hosiusa w r. 1565 kolegium jezuickiego, stanowiło rodzaj uniwersytetu, złożonego atoli z dwóch tylko wydziałów, teologicznego i filozoficznego. Liceum aż do ostatnich czasów przed 2. wojną światową posiadało bogate zbiory, gabinety rzeźby klasycznej w odlewach gipsowych, także mały ogród botaniczny. W ogóle jak na prowincję było to centrum kulturalne pierwszorzędnej miary i tylko w oparciu o taki ośrodek mogły się rozwijać takie np. instytucje, jak warmińskie muzeum, założone przez miejscowe Towarzystwo Historyczne. Dzięki znowu owemu Towarzystwu nagromadzono zbiory dokumentów i książek w tej ilości i w tym rodzaju, że podobnych nawet w przybliżeniu nie posiada żadna z okolic Prus Wschodnich. A przecież wszystko to w ostatniej instancji było wytworem kulturalnej woli twórczej polskiej, co zresztą w dawniejszych czasach przyznawali sami Niemcy. A i tę okoliczność należy podkreślić, że to, co się zachowało w bibliotekach i muzeach, daje tylko bardzo niezupełny obraz tego, co tu było i co by być mogło, gdyby nie niszczące wojny, jakie Warmia przechodziła. Szczególnie zaś straszne spustoszenia przyniosły obie okupacje szwedzkie, a mianowicie za Gustwa Adolfa i za Karola XII, który poza tym nałożył na miasto ciężary, jakim ono sprostać nie było w stanie. Rabowano przeto wszystko, a co się dało wywieźć odsyłano do Szwecji, gdzie te rzeczy

w części są przechowywane do dnia dzisiejszego. Wiele też niszczono niepotrzebnie, tak że aż dziw, iż to zostało, co jest, a także, że zachowały się niektóre budynki, jak np. okazały ratusz, stojący na rynku staromiejskim. Zdobi go na frontonie wiele mówiący i osobliwie ułożony napis: *Haec domus odit, amat, punit, defendit, honorat desidiam, studium, crimina, iura, probos.* (Ten dom nienawidzi, miłuje, karze, broni i czci lenistwo, pilność, zbrodnie, prawa i zacność). A zatem słowo „odit" odnosi się do „desidiam", „amat" do „studium" itd.

W Polsce porozbiorowej mało wiedziano o Braniewie i mało interesowano się jego zbiorami, choć znajdowały się w nich odnośnie Polski materiały bardzo cenne. O Braniewie można jednak to powiedzieć, co prawda z dużymi zastrzeżeniami, że była to jedyna chyba w Prusiech Wschodnich miejscowość, gdzie można było wspomnieć coś o Polsce, choćby dawnej, do czego zresztą pobudkę dawały także posiedzenia warmińskiego Towarzystwa Historycznego odbywane na przemian w Braniewie i Fromborku.

W chwili wybuchu drugiej wojny światowej Braniewo liczyło około 14.000 mieszkańców, przy czym od lat wielu prawie że nie podnosiło swego zaludnienia. Jeszcze w okresie od 1817 do 1852 przybywało średnio miastu po 144 osoby, ale w sześćdziesięcioleciu od 1852—1910 już tylko po 66. Objaw demograficzny charakteryzujący atoli nie tylko Braniewo, ale wiele miast wschodnio-pruskich, czasem nawet stopniowo się wyludniających. W Braniewie nadzwyczaj słaby przyrost zaludnienia przypisywano głównie upadkowi miejscowego handlu, wywołanemu tym, że doskonała komunikacja kolejowa skłaniała wielu do załatwiania wszelkich transakcji w Królewcu, Gdańsku lub Berlinie, a nie na miejscu. Także i słabe uprzemysłowienie miasta niewątpliwie wywierało swój niekorzystny wpływ. Braniewo poza fabryką wyrobów tytoniowych i garbarniami nie posiadało żadnego większego zakładu przemysłowego. Ja bym atoli do tych wyjaśnień dorzucił jeszcze moje własne spostrzeżenia, zdobyte w kontakcie z tamtejszą lud-

nością. Oto, o ile między Niemcami protestantami a katolikami nie ma żadnych różnic w zapatrywaniach na stosunek do państwa i problemy ogólnoniemieckie, o tyle jednak z dawien dawna pozostało przecież pewne tające się zresztą napięcie dwóch obozów religijnych. Katolicy nawet może mniej manifestują to zewnętrznie, ale protestanci są nieraz dość ofensywni. Tam zatem, gdzie zdecydowaną większość stanowi ta lub tamta grupa religijna, druga niechętnie osiada. I tak jest właśnie w Braniewie, gdzie zdecydowaną większość tworzą katolicy.

ELBLĄG

PRZESZŁOŚĆ I TERAŹNIEJSZOŚĆ

W kronice Caspra Schütza pod r. 1237 znajdujemy następującą notatkę: „Markgraf miśnieński Henryk polecił na jeziorze Drużno zbudować dwa okręty. Z ich pomocą kraj nad tym jeziorem położony wszystek zdobył, a to, co się dobrowolnie nie poddało, spustoszył, spalił i zniszczył do podstaw. Prusaków, którzy wiarę chrześcijańską przyjęli, uczynił poddanymi Zakonu, a innych, którzy nawrócić się nie chcieli, polecił zgładzić. Swoimi też ludźmi zajął znaczną część tych stron, aby innych tym lepiej trzymać w posłuszeństwie. Potem wrócił do swego kraju. Z innym znowu oddziałem wyruszył landmistrz na mieszkańców Pogezanii, których w ciągu dwóch lat bez wielkiego przelewu krwi skłonił do posłuszeństwa i przyjęcia chrześcijaństwa, aby zaś mieć ich silniej w ręku, zbudował zamek i twierdzę Elbląg. Gdy tam osiadło kilku mieszczan z Lubeki i założyło osadę, następnie zaczęto budować także miasto Elbląg i wprowadzono prawo lubeckie".

Już ta notatka wskazuje, że kraj nad jeziorem Drużno, do którego około 1237 r. wdarli się Krzyżacy, był podówczas zamieszkały i to dość gęsto. I rzeczywiście na całym obszarze dzisiejszych Prus Wschodnich i skrawku tzw. Zachodnich, na wschód od Wisły, nie ma chyba okolicy, gdzieby skupiło się tyle dowodów prastarego osadnictwa, jak właśnie w pobliżu Elbląga. Niedaleko zaraz nad morzem pod Tolkmickiem, u podnóża piętrzących się tam wzgórz morenowych, natknięto się na ślady mieszkańców z okresu kamiennego, którzy zostawili tu stosy odpadków kuchennych (Kjökkenmödingi). Na groby z młodszej epoki brązowej, a mianowicie na kurhan natra-

fiono w Rehberge, na kamienne, skrzynkowe na Neustäderfeld tuż pod Elblągiem, wreszcie na innego typu, zarówno ciałopalne jak i grzebalne w całym szeregu miejscowości, u południowej krawędzi wzniesień elbląskich. Pochodzą one z czterech pierwszych wieków po Chrystusie. Z czasów przed przybyciem Krzyżaków, najniewątpliwiej już staropruskich, datują się grodziszcza przy Tolkmicku, Lenzen, w Dörbecker Schweiz, w Rehberge, przy Roland, Haselau, Karschau, Wöcklitz, Meislatein. Z tego też okresu pochodzą najniewątpliwiej: wielka drzewem wymoszczona droga, odkryta w torfowisku moczarzystej doliny rzeki Dzierzgonia (Sorge) na południe od Elbląga, dwa większe statki znalezione pod Fromborkiem, łódź Wikingów wykopana pod Baumgarth itd. Pamiątką wypraw skandynawskich w te strony jest zresztą sama nazwa Elbląga, która przetrwała do dnia dzisiejszego i wyparła nawet staropruską „Truso". Ogromnie również żywe stosunki łączyły swego czasu okolice jeziora Drużno z państwem rzymskim, czego dowodem znowu przeliczne wykopaliska monet i innych przedmiotów, nagromadzone w elbląskim miejskim muzeum.

Niemcy po założeniu w Elblągu zamku, uczynili z niego jedną z najważniejszych podstaw w swych dalszych wyprawach przeciwko Prusakom i wśród grodów Zakonu naznaczali mu zawsze rolę przodującą. Aż do r. 1309, to jest do chwili, gdy Wielki Mistrz Siegfried v. Feuchtwangen, przeniósł swą rezydencję z Wenecji do Malborka, był Elbląg siedzibą pruskiego landmistrza, a potem, gdy się stosunki zmieniły, jednego z najwyższych dygnitarzy Zakonu, wielkiego szpitalnika. W jego ręku spoczywały także rządy elbląską komturią, bardzo sporym kawałem ziemi, bo obejmującym aż 65 mil kwadratowych, a w kierunku południowo-wschodnim sięgającym aż po Szczytno. W latach 1441—1467 liczył konwent elbląski 35 rycerzy zakonnych i 3 duchownych.

Oceniając znaczenie Elbląga, już w r. 1246 nadali mu na własność Krzyżacy 3½ mili kwadratowej i zapewnili moż-

ność rządzenia się prawem lubeckim. Pierwotnie odnosiło się to wszystko tylko do tzw. Starego Miasta. Gdy powstało Nowe Miasto, i ono w r. 1347 otrzymało to samo stanowisko. Ustrój rządów miejskich był wybitnie arystokratyczny. Rada miejska złożona z 24 dożywotnich członków, przynależących do rodzin patrycjuszowskich, nie była wybierana lecz sama się uzupełniała przez kooptację, a ogół mieszkańców powoływano tylko do wysłuchania poleceń i zarządzeń. Dopiero rządy polskie, które Elblągowi przyniósł drugi pokój toruński z r. 1466, stopniowo zmieniły tę sytuację. W r. 1526 Królewska Komisja stworzyła coś w rodzaju reprezentacji gminnej. Wreszcie niedługo przed zaborem miasta przez Prusaków, wprowadzono w mieście formę rządów wyraźnie demokratycznych.

Mieszczaństwo elbląskie zobowiązane było wobec Zakonu do służby wojennej i ruszało w pole pod przewodnictwem radnych przeważnie konno, ale i pieszo, nierzadko także w charakterze załogi okrętowej. Dostarczonych zbrojnych dzielono na oddziały, zwane „mayen", liczące od 15 do 100 ludzi. Rozróżniano krótkie potrzeby wojenne na ogłoszenie tzw. „Geschrei", gdy chodziło o odparcie bezpośrednio grożącego niebezpieczeństwa, tzw. „Landwehren", mogące zatrzymać w polu kontyngenty mieszczańskie do 20 dni, wreszcie tzw. „Reisen", przeciągające się do 2 miesięcy w wypadkach np. wyprawy na Litwę, Polskę itp. Wyjątkowo tylko przeciągały się takie wyprawy na okresy dłuższe, jak np. wyprawa na Gotlandię trwała aż 133 dni. Elblążanie wobec Zakonu spełniali swą powinność wojenną ściśle i sumiennie. W bitwie pod Grunwaldem w r. 1410 padło ich 550. Gdy nastały rządy polskie, takie same uczucia lojalności ożywiały ich wobec nowej ojczyzny. Nie pozwolili ubiec miasta wojskom księcia Albrechta w r. 1521, a w r. 1577 oparli się silnym oddziałom zbuntowanego Gdańska, który tocząc wojnę z Polską pragnął zdobyć wierne jej miasto. Ta skłonność Elbląga do Polski miała zresztą swe głębokie powody w odnoszeniu się

państwa polskiego do miasta i jego interesów. Już w czasie trzynastoletniej wojny z Zakonem otrzymał Elbląg (Altstadt) w r. 1457 przywilej zwany „głównym", mocą którego obok potwierdzenia i rozszerzenia praw i swobód, zwiększony został obszar przynależny do miasta o 5,10 mil kwadratowych. Razem posiadało ono 8,6 mili czyli przestrzeń obejmującą prawie cały dzisiejszy powiat elbląski. Nie tu jednak kres życzliwości Polski, ujawniającej się stale, zwłaszcza w związku ze stosunkami polsko-gdańskimi, bo ilekroć zachodziło jakieś ich zaostrzenie, korzystającym z sytuacji był zawsze Elbląg. Te błędy Gdańszczan były w ogóle powodem najświetniejszych czasów Elbląga. Bo gdy chciwi Gdańszczanie nie pozwalali na bezpośrednie stosunki handlowe kupców cudzoziemskich z Polską, aby niepodzielnie zarabiać na pośrednictwie, kupcy angielscy za pozwoleniem Polski w r. 1580 osiedli w Elblągu, zorganizowawszy się jako „Eastland Company" i uczynili z miasta jedyną składnicę angielskich towarów na całym obszarze Bałtyku. Przynieśli oni z sobą obcy kapitał i szeroką inicjatywę, która dla miasta miała jak najpomyślniejsze skutki. Wszystkie najlepsze budowle prywatne pochodzą z tego okresu, a mianowicie owe wysokie szczytowe domy Elbląga, które miastu dodawały tyle dostojności i szlachetnej patyny dawnych wieków. Taki dom przy Spieringstrasse 30, przy którym zachowały się nawet w ulicę wybiegające schody, gmach czteropiętrowy ze wspaniale dekorowanym frontem, zakończonym u szczytu rzeźbą przedstawiającą leżącego wielbłąda, jest naprawdę zabytkiem cennym i godnym widzenia. Podobnych, choć może skromniejszych domów, jest więcej. Do nich należy także nieźle zachowany przy Alter Markt 14, gdzie stawali królowie polscy, ilekroć odwiedzali Elbląg, najcenniejszy zaś, zbudowany w roku 1598, przy Heilige Geiststrasse 17 i 18, został przed 50 laty zburzony i dziś zachowała się tylko jego kopia pod postacią nowej kamienicy wzniesionej w tym samym miejscu w r. 1898.

Kres świetności Elbląga położyło zajęcie tego miasta przez Szwedów. Dnia 16 lipca 1626 w mury Elbląga wjechał uroczyście Gustaw Adolf. Otoczył on miasto nowymi obwarowaniami i uczynił z niego podstawę operacyjną w wojnie z Polską. I dwukrotnie jeszcze potem gościli w Elblągu Szwedzi. Byli tu oni w latach 1655—1660 za Karola Gustawa i za Karola XII w okresie Wojny Północnej, wyduszając tym razem ze zubożałego miasta pod różną formą olbrzymią na owe czasy sumę 575.000 talarów. Wreszcie niezmiernie dotkliwy cios spadł na Elbląg w r. 1698 wskutek zajęcia terytorium miejskiego przez elektora brandenburskiego, roszczącego sobie do Polski pretensję z racji niewypłacenia Prusom dłużnych przez Polskę sum. Elbląg nigdy już swej posiadłości nie odzyskał i podupadając coraz bardziej przeszedł wreszcie w r. 1772 przy pierwszym podziale Polski w ręce Prus.

Z dawnych czasów krzyżackich zachowały się tylko niektóre kościoły, bo zamek, który podobno był tu prawie tak wspaniały jak malborski, został doszczętnie zburzony własną ręką Elblążan w r. 1454, w chwili wybuchu 13-letniej wojny z Zakonem za czasów Kazimierza Jagiellończyka. Dziś z całą ścisłością nie można nawet określić miejsca, gdzie on stał. Przez wieki ruiny zamczyska służyły Elblągowi jako kamieniołom i dziś wszędzie nie tylko na Starym Mieście ale i poza jego granicami spotyka się bloki obrobione granitu, piaskowca i wapienia, które niewątpliwie pochodzą ze zburzonej budowli. Wiele cennych okruchów imponującego gmachu zawiera także miejscowe muzeum. Z zamku pochodzi również szesnastościenna podstawa granitowa z takimże 3-metrowym słupem, stojąca na podwórzu tzw. starego gimnazjum. To wszystko.

Wielki niszczyciel zabytków pruskich, Fryderyk II, który fatalnie rozgromił także oddany Prusactwu przez Polskę w całości Malbork, nie przepuścił i Elblągowi. Polecił zburzyć mury obronne miasta, z których zachowała się tylko jedna wieża, zamykająca dziś perspektywę najwspanialszej ulicy miasta „Alter Markt". Jest to tzw. „Markttor", datująca się jeszcze

z r. 1319. Stare, ciekawe, bardzo obszerne spichlerze na Wyspie Spichlerzowej, położonej na zachód od Starego Miasta i oddzielonej od niego głęboką rzeką Elblągiem, przetrwały w niezmienionej szacie od dawnych czasów, zdaje się tylko dzięki swemu praktycznemu przeznaczeniu, tym bardziej, że bezpośrednio po zajęciu miasta były Fryderykowi II potrzebne dla popierania handlu elbląskiego, na przekór Gdańskowi, który wiernie trzymał się Polski. Nie zachowały się także dawne ratusze ani na Nowym Mieście ani na Starym. Wspaniały ratusz staromiejski zgorzał w r. 1777 podczas wielkiego pożaru, który przeniósł się na niego z palącej się wieży kościoła św. Mikołaja. Wtedy w latach od 1779—1782 wybudowano inny gmach, już poza obrębem Starego Miasta, przy dzisiejszym placu Fryderyka Wilhelma. Ale i ten nie dotrwał do naszych czasów. Zburzono go w r. 1891 i w ciągu następnych 3 lat postawiono ohydną a pretensjonalną, w iście pruskim guście skleconą budowlę. Działa ona niesamowicie na każdego zwiedzającego miasto, bo rzekomo w stylu renesansu niemieckiego, a w gruncie rzeczy zupełnie bezstylowa, niczym nie jest związana ani z wczesnobarokowym charakterem Starego Miasta, ani nawet z placem, na którym stoi, przypominającym czasy fryderycjańskie. Odpowiednikiem tej budowli jest chyba tu stojący pomnik cesarza Wilhelma I. Duży blok spiżowy, 3,6 m wysoki, stojący na wysokim na 4 m cokole, przedstawia cesarza o minie starego sierżanta, ćwiczącego na podwórzu kasarni rekrutów i srogo przyglądającego się każdemu uchybieniu musztry.

Jedna tylko rzecz Prusakom udała się, a to odbudowa wieży kościoła św. Mikołaja. Choć nie odpowiada ona ściśle tym kształtom, które widzimy na starych rysunkach, niemniej jednak dzisiejsze zwieńczenie wieży stanowi przepiękną, z dala widną sylwetkę, bo szczytami sięgającą 90 m wysokości. Odbudowa dokonana w stylu jak najszlachetniejszego renesansu jest dziełem baurata Michaelisa. Kościół św. Mikołaja, patrona żeglarzy, najstarszy zdaje się w mieście, bo pochodzący z początków XIII wieku, jest jedyną świątynią, którą zatrzymali

katolicy po wprowadzeniu w Elblągu protestantyzmu jako głównego wyznania. Kryje on również kilka prześlicznych zabytków, jak słynną chrzcielnicę z roku 1387 i późnogotycki ołtarz szafkowy z ciętymi w drzewie i złoconymi figurami. Kościół ten, mimo że od pożaru w r. 1777 minęło już 170 lat, ciągle jednak jest jeszcze nieodbudowanym i niewyrestaurowanym, a zaledwie tylko od zniszczenia zabezpieczonym zabytkiem. Widać, że z ofiarnością katolików elbląskich jest nie najlepiej.

Główna świątynia ewangelicka, znana pod dawnym wezwaniem Najświętszej Panny Marii, była niegdyś kościołem O. O. Dominikanów i początkami sięga także XIII wieku. Jeszcze Herman Balk, pierwszy landmistrz pruski Zakonu Rycerzy Najświętszej Panny Marii, którego pomnik za czasów rządów pruskich wzniesiono na placu Fryderyka Wilhelma naprzeciw cesarskiego, oddał dominikanom kawał ziemi, gdzie zbudowali kościół i klasztor. Reformacja wygnała ich z tej siedziby, ale nie pozbawiła kościoła cenniejszych ozdób. Ocalał główny ołtarz, późnogotycki tryptyk, późnorenesansowa kazalnica itd.

Na wzmiankę zasługiwały jeszcze kościoły Bożego Ciała i szpitalny św. Ducha. Ten drugi sięga, jak dwa omówione poprzednio, również XIII wieku i styka się z niezmiernie interesującym kompleksem zabudowań szpitalnych, wzniesionych w wieku XVII w miejsce nieporównanie starszych, gdyż początkami swymi pamiętających rok 1242. Dzisiejsze przetrwały w niezmienionej zupełnie formie 300 lat i do niedawna stanowiły rzecz godną zwiedzenia jako pomnik architektury drewniano-murowanej z rozmaitymi schodkami, dostawkami, poddaszami itp.

Tyle o zabytkach i architekturze starego Elbląga, bo o dorobku powstałym na tym polu za czasów pofryderycjańskich nie ma nawet co i mówić. Wszystkie rzeczy w najlepszym razie przeciętne a na ogół ponure i brzydkie. Elbląg ma jednak coś, co go wynosi ponad inne miasta wschodnio-pruskie, a co jest dorobkiem ostatnich 100 lat. To jego przemysł, zatrudniający kilkanaście tysięcy robotników i ciągle aż do wybuchu ostatniej

wojny rozwijający się. Tylko przemysłowi zawdzięcza Elbląg to, że licząc ostatnio przeszło 80.000 mieszkańców, co do wielkości był drugim miastem Prus Wschodnich. Różnych fabryk było tam sporo. Z branży metalowej zakłady Neufeldta, Tiessena, Wilhelma, Oehmkego et Schmidta, Zillgitta et Lemkego,nadto dwie wielkie fabryki cygar Loesera i Wolfa oraz Gieblera, browary, mleczarnie, fabryka papy, kamienia sztucznego itp. Ponad wszystko wybijała się jednak przez pewien czas fabryka maszyn i automobili F. Komnicka i jeszcze bardziej sławne zakłady Schichau'a (Schichau Werke). Były one w stanie budować większych rozmiarów okręty, torpedowce, bagry, lokomotywy, dostarczać całych urządzeń fabrycznych itd. Pracowały już lat przeszło 100 i można powiedzieć, że przede wszystkim one nadawały miastu ton i koloryt dużego centrum przemysłowego. Wszyscy mniej lub więcej związani byli z zakładami Schichau'a. W roku 1912, gdy obchodzono 75-lecie istnienia firmy, rozdała ona dla upamiętnienia chwili na cele dobroczynne 2.730.000 marek, tworząc cały szereg pierwszorzędnych zakładów filantropijnych. Dodać należy, że w przemyśle elbląskim pracowało do 600 robotników pochodzenia polskiego, którymi nikt się atoli nie zajmował, i którzy wskutek tego rozumie się, podlegali stale zupełnej germanizacji. Był moment kiedy zdawało się, że nasze Ministerstwo Spraw Zagranicznych, a specjalnie departament konsularny, zajmie się tą kwestią. Powołano nawet w Elblągu do życia placówkę konsularną. Jednak już po kilku czy kilkunastu miesiącach egzystencji zwinięto ją, rzekomo ze względów oszczędnościowych.

Położenie Elbląga między dwoma konkurencyjnymi portami i miastami, Królewcem i Gdańskiem, nie jest przecież łatwe. Tak jak przed wiekami, tak i do ostatnich czasów istniała wyraźna i stała tendencja odebrania staremu grodowi hanzeatyckiemu nad Elblągiem dorobku i warunków rozwoju. W tym działaniu na czele kroczył zawsze rząd pruski. W połowie XIX wieku, regulując Wisłę, mimo głośnych protestów, odcięto Elblągowi Nogat, który łączył miasto z basenem wiślanym i Polską; kolej wschodnia Berlin-Tczew-Królewiec, a jesz-

cze więcej Toruń-Wystruć odciągnęła od Elbląga ruch i skierowała go do Królewca i Gdańska; wreszcie linia Mława-Malbork zbudowana została wyłącznie w interesie Gdańska. Nawet wykopany w latach 1845—1860 Kanał Oberlandzki, łączący jezioro Drużno i Zalew Fryski z zachodnią, wyżynną częścią Prus Wschodnich, nie wychodził na pożytek Elbląga, lecz Gdańska, jak się żalił starszy burmistrz elbląski, Dr. Marten. I wtedy właśnie na przełomie losów miasta stanęła potężna postać Ferdynanda Schichau'a. On uratował Elbląg i zapewnił mu nowy okres rozkwitu. Pomnik tego niepospolitego męża, zdobiący placyk przy Markttor, zresztą niebrzydkie dzieło rzeźbiarza Haverkampa, ciągle przypominał Elblążanom, pod jakim znakiem żyją.

Pierwsza wojna światowa ze swymi skutkami, wbrew temu, co podszeptywali Elblągowi rządowi podżegacze pruscy, przyniosła miastu tylko korzyści. Przede wszystkim odcięła kordonem celnym gdańskiego konkurenta i rynkowi handlowemu elbląskiemu, jako bezsporną sferę ciążenia, zapewniła całą zachodnią część Prus Wschodnich, która złączona jest z miastem dobrze rozbudowanym systemem kolei lokalnych; a po wtóre Elbląg nabrał nowego znaczenia jako port, drugi po Królewcu, dla całej przestrzeni między Niemnem a Nogatem. Niemcy którzy najsłuszniej zresztą w świecie, kładli zawsze tak wielki nacisk na komunikację, musieli dbać o Elbląg, bo inaczej dla całej „wyspy wschodnio-pruskiej" jako jedyny wylot na morze zostawał tylko port królewiecki. Ale poza tym wszystko, co możliwe, czyniły też czynniki autonomiczne, aby miastu dać możność wykorzystania tych okazji handlowych, które się nastręczały w związku ze zmienioną sytuacją polityczną. Gdy przez długi czas dla przeładunku z kolei na okręt i odwrotnie, Elbląg posiadał wszystkiego tylko 820 m rampy, to po pierwszej wojnie światowej miasto kosztem 4 milionów marek przy tzw. Angielskiej Studni i naprzeciwko ujścia Kanału Kraffohl, łączącego rzekę Elbląg ze skanalizowanym Nogatem, wytworzyło 24 ha nowych placów na składy i uprzystępniło je przez położenie 1970 m. nowych torów kolejowych. Główną myślą

tych inwestycji było pragnienie skierowania przez Elbląg części eksportu drzewa zarówno z Prus Wschodnich jak i z Polski. Ogromny nacisk kładziono także na utrzymanie odpowiedniej głębokości farwateru w Zalewie Fryskim w kierunku na Piławę. Dotąd atoli nie przekracza ona 3,20 m, a w rzece Elblągu wynosi 4 m. Chodzi o to, aby farwater Zalewu pogłębić do 4 m, a rzeki Elbląga do 5.

Już z tego, cośmy dotąd powiedzieli, widać, że tak samo jak w dawnej przeszłości, tak i za czasów przed ostatnią wojną Elbląg, w odróżnieniu od innych przeciętnych miast wschodnio-pruskich, miał swój wyraźnie określony indywidualny charakter. Z dawnego ważnego emporium handlowego, dzięki Schichau'owi, potrafił w ciężkiej chwili przełomowej przedzierzgnąć się w centrum przemysłowe i uratować swe znaczenie. Nie dziw zatem, że i w mieszkańcach miasta było w ogóle może więcej samodzielności, niż to pospolicie widzimy wśród wschodnich Prusaków, przyzwyczajonych tylko do rozkazów z góry, więcej kultury i subtelności. Brak tu było uniwersytetu, muzeów i bibliotek Królewca, ale i tej specjalnej brutalności i rubaszności wschodnio-pruskiej, która tak raziła Europejczyka nad Pregołą. Istniał też stary ludowy antagonizm między Elblążanami a mieszkańcami Królewca, ujawniający się choćby tylko przy sposobności, gdy w lecie cały szereg żaglowców znad Elbląga i Nogatu zawijał do Królewca z owocem i stawał w centrum miasta powyżej tzw. Zielonego Mostu. Wtedy prawie zawsze przy sposobności zetknięcia się handlowego kupujących i sprzedających powstawały ostre spory, tym bardziej, że dolnoniemiecki język, którym posługiwali się Elblążanie, był gwarą tak specjalną, iż dla wielu Niemców wręcz niezrozumiałą.

W odniesieniu do Polski i polskości Elbląg na ogół ustosunkowywał się nieporównanie mniej jadowicie niż Królewiec lub inne jakiekolwiek miasto wschodnio-pruskie, a nawet sprusaczały Gdańsk.

Rzecz godna zapamiętania!

KRÓLEWIEC NIEGDYŚ A DZIŚ

Początki stolicy Prus Wschodnich sięgają połowy trzynastego wieku. Około założonego na miejscu starej warowni pogańskiej zamku krzyżackiego nad Pregołą, rozwinęły się stopniowo trzy miasta: Altstadt (1286), Löbenicht (1309) i Kneiphof (1327). Otoczone oddzielnymi murami i basztami a także do r. 1724 oddzielnie administrowane, wymieniane są w dokumentach najczęściej pod zbiorową nazwą Königsberga, czyli z polska Królewca. Pod tym też mianem weszły one za czasów Winricha v. Kniprode (1351—1382) do Związku Hanzeatyckiego, a następnie Pruskiego, który wypowiedziawszy Krzyżakom posłuszeństwo, w początkach r. 1454 oświadczył się za królem polskim. Delegaci Królewca: Greger Schwach i Nickel Rademan, znajdowali się również w uroczystej legacji, złożonej z 12 osób, wysłanej do króla Kazimierza Jagiellończyka imieniem „Lande und Staedte des Bundes in Preussen", która 23 lutego 1454 r. w Krakowie przedłożyła mu prośbę o przyjęcie Prus Wschodnich i Zachodnich pod berło polskie, powołując się na prawa, jakie ma Polska do tych ziem i piętnując ucisk ludności przez Zakon „u którego nigdy nie było na słuszności i chrześcijaństwie opartego porządku", a natomiast „nierząd oraz hańba tak wielka i pospolita, że na ten temat szkoda nawet mówić"[1]).

Na gruncie królewieckim akcja propolska nie wydała przecież żadnych trwałych owoców. W lutym 1454 r. w ręku powstańców znalazły się wprawdzie wszystkie trzy miasta,

---

[1]) „bei deme nie kein billiche noch Christliche Ordnung gewesen ist, sondern die Hurerey, Schande und Laster so gross und gemein, dass nicht davon zu sagen steht".

tworzące Królewiec, z zamkiem, który poddał się także, ale już przy końcu marca sytuacja uległa zupełnej zmianie. Dowiedziawszy się, że Stany Pruskie na cele prowadzenia wojny z Zakonem mają zamiar obłożyć się specjalnymi podatkami, mieszkańcy Altstadtu oświadczyli, że są wprawdzie gotowi do świadczeń z krwi, ale pieniędzy nie dadzą, gdyby zaś chciano ich do tego zmusić, to daninie sprzeciwią się wszystkimi sposobami.

W rezultacie w Królewcu tak się opinia ukształtowała, że Kneiphof stanął przy królu, zaś Altstadt i Löbenicht wróciły do posłuszeństwa wobec Zakonu. Bez wpływu pozostała też okoliczność, że zrazu król między innymi otrzymał również zapewnienie wierności Niclasa, biskupa królewieckiego (Sambii), jak niemniej i ten fakt, że przeprowadzając podczas bytności w Elblągu, w czerwcu 1454 r., nowy podział administracyjny włączonych terytoriów, powołał do życia województwo królewieckie, powierzając je Stiborowi v. Baysen. Rozumie się, że tym bardziej pozbawione były wszelkiego skutku i uchwały zjazdu, który ze Stanami odbył król w Grudziądzu dnia 13 lipca 1454 r. Wtedy to przy rozkładaniu na pojedyncze miasta i biskupstwa kwoty 46.630 marek, koniecznej na pierwsze potrzeby wojenne, wyznaczono i Królewcowi udział w wysokości 7.400 marek, z czego Altstadt miało ponieść 4.000, Kneiphof 3.000, a Löbenicht 400. Uchwała ta, choć bezskuteczna, świadczy przecież, że Królewiec musiał być już wówczas sporym i wcale zamożnym centrum handlowym, skoro jego zdolność płatniczą tak wysoko oceniano. Przewyższały go pod tym względem tylko dwa miasta związkowe: Toruń z daniną w kwocie 20.000 marek i Gdańsk z 10.000. Dla ilustracji stosunków dodamy, że od wielu innych miast nie żądano więcej, jak 50, a nawet tylko 25 marek. Kneiphof, przy pomocy przybyłych na okrętach Gdańszczan, bronił się mężnie przez 14 tygodni, przy czym szczególnie krwawe walki toczyły się między 20 kwietnia a 14 czerwca, nieraz w dzień i w nocy. Pomoc Gdańska okazała się jednak niedostateczna, król zaś, choć w liście do Gdańszczan z 11 maja

obiecał osobiście przyjść z odsieczą, zawiódł. Wreszcie dnia 13 lipca, po wyczerpaniu zapasów prochu i żywności, nastąpiła kapitulacja Kneiphofu, który swoje zadanie dotrzymania przysięgi wierności królowi spełnił najzupełniej, tym bardziej, że wobec ówczesnych pojęć „nikt nie był zobowiązany swemu panu dłużej bronić zamku lub miasta, zostawionego bez pomocy, jak cztery tygodnie". W specjalnym manifeście, adresowanym na ręce Gdańska, dziękując mu za jego pomoc, żali się boleśnie burmistrz i cała gmina Kneiphofu na stratę 300 ludzi i inne szkody, przede wszystkim jednak „że król Jegomość, kraj i miasta, albo że urzędnicy dworscy nas w tak żałosnym stanie zostawili"[1]).

I rzeczywiście sprawie polskiej stała się bardzo poważna szkoda. Strata Królewca na wschodzie miała prawie ten sam efekt moralny, co na zachodzie, o dwa miesiące późniejsza, klęska pod Chojnicami, gdyż za przykładem stolicy sambijskiej odpadły od Związku także inne miasta Prus Wschodnich, zwłaszcza zaś sąsiednie, dodając Zakonowi otuchy do dalszej, upartej walki. Owego błędu nie naprawiono w dodatku aż do końca wojny, choć jeszcze dwa razy znalazły się wojska związkowe i królewskie w pobliżu Królewca, raz w r. 1461, zdobywając i paląc Fischhausen, a drugi raz w r. 1464, kiedy pod dowództwem bohaterskiego Jana Szalskiego podeszły nawet pod same mury miasta i zniszczyły jego magazyny oraz stojące w przystani okręty. Ważnej warowni nad Pregołą już więcej przecież nie odzyskano. Na pozycję zewnętrzną miasta, przemienionego od r. 1457, to jest po stracie Malborka, na stolicę krzyżacką, nie wpłynął nawet bunt przeciw Zakonowi, który wybuchł w Królewcu w r. 1465, posiłkowany przez okoliczną szlachtę niemiecką, zmęczoną przydługim trwaniem wojny. Dowódca krzyżacki uporał się z rokoszanami łatwo. Mianowicie „postąpił z nimi według ustalonych zwyczajów Zakonu. Polecił 70 mieszczan i 26 ze szlachty schwytać,

[1]) „dass der Herr König Land und Städte, oder des Königs Hoffgesinde uns jämmerlich verlassen haben".

z których najznakomitszych 6 osób musiało zapłacić gardłem, innych zaś uwięził w różnych zamkach i trzymał tak długo, aż złożyli okup, niektórzy jednak zmarnieli i poginęli w niewoli"[1]).

Gdy zawierano pokój, kończący trzynastoletnią wojnę z Zakonem, o Królewcu ze strony polskiej wspominano już bardzo nieśmiało. W początkowych warunkach, podyktowanych przez króla, była wprawdzie mowa o tym, że Zakonowi zamierza on pozostawić na jego siedzibę wyłącznie tylko Sambię „ohne die drey Städte Königsberg", ale z tego stanowiska Polska ustąpiła szybko, może nawet za szybko. Niewątpliwie stało się to pod wpływem wysłanego specjalnie legata papieskiego Rudolfa, biskupa lewantyńskiego, który wyraźnie trzymał stronę Krzyżaków, tym bardziej, że cała akcja Związku Pruskiego od początku spotkała się z niechęcią i potępieniem papieża. Królewiec dla Polski przepadł i noga polskiego żołnierza nigdy tam już więcej nie postała. W r. 1520, podczas wojny z Wielkim Mistrzem Albrechtem, zbliżyli się wprawdzie Polacy na milę od Królewca, zajmując wieś kościelną Haffstrom, jednak znowu na tym wszystko się skończyło. Interwencja duchowna i inne względy polityki państwowej i teraz wstrzymały polski oręż od ostatecznej rozprawy z gniazdem krzyżackim, którego ogromne znaczenie odczuwano należycie zarówno w otoczeniu króla jak i Wielkiego Mistrza, bo słowem „Königsberg" często określano nawet cały lenny kraj zakonny. Gdy w r. 1525 Albrecht podczas uroczystości składania hołdu królowi Zygmuntowi I, „jako prawdziwemu i najwyższemu panu i dziedzicowi krajów pruskich", przez usta siedmiu przed majestatem królewskim klęczących „oratores" prosił o lenno świeckie, ujął to w formę,

[1]) „Er handelte auf gut Ordensch mit ihnen. Lies siebenzig Bürger und sechs und zwanzig vom Adel fangen, von denen die fürnembsten sechse mit dem Halse büssen mussten, die anderen legte er hin und wider in die Schlösse, bis sie sich mit Gelde loskauften, etliche auch verschmachteten und in den Gefengnissen verdorben".

aby go podniesiono do godności księcia królewieckiego[1]). Także i kanclerz króla powtórzył w odpowiedzi termin: „książę królewiecki".

I Królewiec stał się rzeczywiście sercem i duszą sekularyzowanych Prus. Książe Albrecht założył tam w r. 1544 uniwersytet, zatwierdzony w r. 1560 przez króla Zygmunta Augusta , wcale zasobną bibliotekę, rozbudował zamek i rozwinął miasto pod względem handlowym. Również w wewnętrznych stosunkach polskich Królewiec za Albrechta odgrywał rolę ogromnie ważną jako stolica duchowa polskiego ruchu reformacyjnego, tym więcej, że i sam książę po początkowym okresie jak najbardziej wrogiego traktowania Polski, zachowywał się w ciągu swego długiego, bo aż 43-letniego panowania, względnie wcale lojalnie wobec królów polskich, Zygmunta I i Zygmunta Augusta. Sprawy polskie obchodziły go żywo i nie ulega żadnej wątpliwości, że i w Polsce miał wielu przychylnych, zwłaszcza zaś między polskimi protestantami, którzy wobec bezdzietności króla Zygmunta Augusta i urodzenia się w r. 1553 Albrechtowi syna — myśleli nawet o wprowadzeniu dynastii Hohenzollernów na tron polski i z takimi pomysłami występowali publicznie. Rafał Leszczyński w swojej mowie, wypowiedzianej w obliczu całego sejmu, obdarzył Albrechta nawet tytułem „książę IMĆ pruskie, nasz miłościwy pan", co jednak wywołało oburzenie zarówno Zygmunta Augusta, jak i wielu ówczesnych polityków polskich, bo umysły szlachty dla takiej koncepcji zrozumienia mieć nie mogły. Za długo i za obficie przez setki lat lała się krew polska nad Bałtykiem, aby tego, który był spadkobiercą tradycji krzyżackich, chciano widzieć na czele rozmiłowanej w „wolności" Rzeczypospolitej. Rozumie się, że nie mało ważył też wzgląd na protestanckie wyznanie księcia.

W Królewcu za Albrechta drukowały się polskie książki, prześladowani w Polsce protestanci znajdowali tam schronienie, a książę pruski tak lubił otaczać się Polakami wpro-

---

[1]) „Ihn machen zu einem Fürsten zu Königsberg".

wadzając ich na odpowiedzialne urzędy, że niejednokrotnie z tego tytułu spotykał się nawet z sarkaniem niemieckiego mieszczaństwa i szlachty. „Fürst zu Königsberg" popierał również poczynania kulturalne polskie. Gdy Mączyński wydaje swój słownik łacińsko-polski i drukuje go u typografa królewieckiego Daubmana, Albrecht czuwa nad tym, aby książka, której wagę należycie oceniał, ukazała się w większej ilości egzemplarzy. Gdy późniejszy historyk Sarnicki z Lipia studiuje w Królewcu, książę łoży na jego utrzymanie i żywi go u siebie na zamku. Opiekuje się przybyłym z Krakowa drukarzem Małeckim i jego rodziną, a z arystokratycznymi domami polskimi utrzymuje stale jak najlepsze stosunki, zwłaszcza zaś z kasztelanem poznańskim i generałem wielkopolskim, Andrzejem Górką, toż samo ze starostą człuchowskim, Januszem Latalskim i innymi. Aby sparaliżować na terenie Rzeczypospolitej wpływy ruchliwego nuncjusza papieskiego, Lipomana, sprowadza Albrecht do Królewca z Wirtembergii byłego biskupa Capo d'Istrii, P. P. Vergeria, wielkiego przeciwnika Rzymu, którego zapoznaje z wojewodą wileńskim Mikołajem Radziwiłłem Czarnym, pierwszą po Zygmuncie Auguście osobistością w państwie.

Słowem, Królewiec w połowie XVI wieku nie schodził ani na chwilę z uwagi Polski, a Polska Królewca. Stosunki były żywe i ciągłe, względnie nawet przyjazne i pełne kurtuazji. Doznaje się niemal wrażenia, że krew jagiellońska, jaka płynęła w Albrechcie — ostatnim Krzyżaku, a pierwszym Prusaku — nie pozwalała na ustalenie się trwałe złych wzajemnych relacji, tym bardziej, że niemieckości w Prusiech Wschodnich w tych czasach stosunkowo było mało. Żywioł polski, już to z dawna osiadły, już to jako nowa fala kolonizacyjna, podchodził aż pod same mury Królewca, Litwini zajmowali po dawnemu ogromną przestrzeń kraju po obu stronach dolnego Niemna i źródłowych rzek Pregoły, a wreszcie i sama stolica wykazywała ludność tak mieszaną, iż bez przesady można powiedzieć, że zaledwie 50% przypadło w niej na rdzennych Niemców. Bezpowrotnie wymierali tylko starzy Prusacy, któ-

rzy przed wiekami podbici, ale doszczętnie nie wytępieni, nie tak dawno jeszcze, bo za czasów bitwy grunwaldzkiej, stanowili (około) ⅓ ludności Prus Wschodnich. Za Albrechta, co prawda, już tylko w luźnych ale dość licznych grupach mieszkali niedaleko Królewca, zajmując części Sambii. Potwierdza to między innymi fakt, że proboszcz Abel Will z pobliskiej wioski Pobethen na wezwanie Albrechta przetłumaczył w latach 1545 i 1561 na język staropruski katechizm luterski. Obok tedy Niemca, Litwina, Polaka, Holendra i Szkota, po targach królewieckich kręcił się jeszcze i wieśniak staropruski, przyczyniając się do zwiększenia mieszaniny etnicznej, jaka skupiała się w stolicy nad Pregołą.

Taki charakter międzynarodowy Królewca nie dogadzał atoli tamtejszym Niemcom, a i polityka książąt pruskich wobec Polski, zwłaszcza po pokoju Oliwskim (1660), powoli ulegała coraz to większemu a jednostronnemu zacieśnieniu koncepcji, tak iż Polacy stopniowo coraz to rzadziej zapędzali się w te strony. Gdy około lat sześćdziesiątych wieku XVII były jeszcze możliwe w Królewcu rządy Bogusława Radziwiłła jako generalnego gubernatora Prus Wschodnich, gdy wypędzeni z Polski arianie znajdowali tam wówczas łatwe schronienie, jak np. familia Przypkowskich, Samuel, Jan, Maciej i Mikołaj, to w wieku następnym wzajemne stosunki polsko-królewieckie ulegają wyraźnemu pogorszeniu. Zaprzestaje wychodzić polska gazeta „Poczta Królewiecka" (1718—1720), ludność polska coraz to bardziej ubożeje i zanika, a wreszcie ulega systematycznemu prześladowaniu, czego wyrazem są specjalne zarządzenia władz książęcych. Na podstawie instrukcji Wielkiego Elektora z 7 lutego 1684 r. w przedmiocie rozdziału dóbr szlacheckich od nieszlacheckich, wielka ilość polskich majątków szlacheckich postradała prawa dóbr rycerskich. W r. 1724 król Fryderyk Wilhelm I zabrania Polakom osiedlania się na pruskiej Litwie, a wnet potem w ogóle osiedlania się w Prusiech Wschodnich. Wielokrotnie ze strony pruskich władz sięga się przy tym do pospolitego gwałtu, wyrzucając chłopów Polaków z ich zagród i wprowadzając na ich miejsce kolonistów nie-

mieckich. A jak niegodziwe było to postępowanie, ilustruje dosadnie fakt, że Fryderyk II, którego o nadmiar życzliwości dla Polski nikt chyba posądzić nie może, musiał nakazać instancjom rządzącym w Królewcu, aby zasięgały wiadomości o dalszym pobycie chłopów polskich: „zważywszy, że nie jest Naszą wolą, aby dawnych mieszkańców wypędzać miano z kraju".

Ale na tym nie koniec! Do polityki eksterminacyjnej na polu ekonomicznym, która zainicjowana w XVII wieku z różnym nasileniem trwała do dnia dzisiejszego, dodano powoli podobną w dziedzinie kościelnej i szkolnej, tak, iż Prusy Wschodnie, a zwłaszcza już Królewiec (gdzie do dnia dzisiejszego najdawniejszy, zdaje się, kościół miasta na Steindammie nosi ludową nazwę Polskiego, „Polnische Kirche", a jedna z najstarszych ulic na Löbenichcie Polskiej Szkolnej „Polnische Schulstrasse"), nawet w rzędzie krajów pruskich zajął stanowisko specjalne. Kurs nienawiści do wszystkiego, co nie niemieckie, a specjalnie już polskie, nawet zewnętrznie zaczął manifestować się jaskrawo w nastrojach ludności, zarówno gminu, jak i inteligencji. Po pierwszej wojnie światowej tendencje antypolskie jeszcze wzrosły. Gdy temu lat 100, a nawet jeszcze 50, student polski mógł śmiało zapisać się na uniwersytet królewiecki i nie zaczepiany przez nikogo, posługiwać się publicznie swoim rodzimym językiem, tak jak zawsze np. Niemiec w Polsce, to w ostatnich czterdziestu czy trzydziestu latach było to wręcz nie do pomyślenia. Studentom Polakom, pominąwszy zgermanizowaną młodzież mazurską, w mury powojennej Albertiny wstęp został bezwzględnie zamknięty, chyba że któryś przemycił się pod firmą Litwina. Poza tym, po wojnie światowej tak sprawy stały, że trzeba było nie byle jakiej śmiałości, aby w ogóle w Królewcu już nie polskim, ale jakimkolwiek innym językiem obcym posługiwać się swobodnie w rozmowie na ulicy, w kawiarni lub restauracji. Wszak np. w r. 1927 obiegła całą prasę światową wiadomość, że tłum królewiecki rzucił się na konsula rosyjskiego, słysząc go rozmawiającego ze swym towarzyszem, i silnie poturbował. To był

konsul, a zatem sprawa stała się głośna, ale ileż takich afer likwidowano w sposób cichy. Wiedziała o tym tylko pruska policja, z zasady nie interweniująca w podobnych sprawach, i ten, który został pobity lub zelżony.

Bo wschodnie prusactwo to nie była Europa, zaś stołeczny Królewiec, choć w nim wśród paru tysięcy domów sterczał także wcale stary uniwersytet i tkwiło kilka muzeów, to jeszcze nie Bruksela, Sztokholm, Kraków, a nawet nie to, co Lwów lub Ryga. To było coś zupełnie swoistego, ale i obcego Zachodowi, jak Konstantynopol, Baku lub Orenburg. I bystrego obserwatora pozory mylić nie mogły: ani dość dobre królewieckie bruki, ani niebrzydkie ogrody, ani ujęta w murowane brzegi, głęboka do 13 m Pregoła, tworząca port wewnętrzny miasta. Stanowiło to wszysko tylko dowód organizacyjności miejscowych ludzi i ich uzdolnień gospodarczych, nigdy jednak kultury w pojęciu europejskim. Zresztą motywem owych przedsięwzięć poza prawdziwą potrzebą, której korzenie tkwiły w pospolitej chęci zysku, oraz poza popędem do naśladowania, tak właściwym Niemcom, była aż nazbyt często wschodnia chęć błyszczenia i imponowania, choć przerobiona tu na inny nieco, lokalny fason. Ów Wschód, gdzie palmy rosną, pragnie olśnić przepychem bogactw i kolorów, orientalizm zaś wschodnio-pruski, skrystalizowany najsilniej w stołecznym Królewcu, chciał imponować otoczeniu siłą materialną i rytmem pracy. Wiele mówiło się także i o sile moralnej, lecz nie ona, ale siła materialna wybijała się na wierzch jako główny wykładnik życia. Siła moralna łatwo i powszechnie przyjmowała formy moralnej przemocy, jeszcze straszniejszej od fizycznej, bo tępej, zawziętej i owianej specjalnie pruskim szałem ujednostajniania. Kult siły tkwił tak głęboko w świadomości i podświadomości każdego Prusaka, iż prusactwo po złamaniu w pierwszej wojnie światowej walczącej pod przewodem pruskim niemczyzny, zostało na lata całe naprawdę bez programu działania, tworzenia i myślenia. Czuło się zachwiane, nieszczęśliwe i odwiedzione od swej misji dziejowej. Żaliło się przed sobą i przed światem, że mu źle. Dźwignął je

dopiero Hitler swoją nauką nienawidzenia wszystkiego co nieniemieckie, ale przysłużył mu się źle. Tym razem wzięli górę Słowianie.

Królewiec, z wyjątkiem krótkiego zresztą okresu walk o wyzwolenie się Niemiec za czasów Napoleona, był zawsze centrem tej mentalności nienawiści i szerzenia krzywdy, i dlatego też nad Pregołą, w bastionie walczącej niemczyzny, choćby przymusowe przekreślenie jej lub bodaj poderwanie w związku z rezultatami wojny odczuto najmocniej i najboleśniej. Prusak, a mówimy tu bez wszelkiej przesady, niemożność bezkarnego znęcania się nad nieprusakiem, eksploatowania go i pogardzenia nim, uważał wręcz za krzywdę, której gotów był jak najzawzięciej dochodzić. I całe generacje, trzymające od wieków ster spraw publicznych w swym ręku, innymi kategoriami myśleć już nie potrafiły. Gorsza, że wątpić należy, czy cośkolwiek lepszymi i więcej zdolnymi do kompromisów mogą być kiedykolwiek następne; prusactwo jest bowiem wytworem długiego i bardzo osobliwego procesu historycznego, który aż do ostatniej chwili ciągle jeszcze działał. Swojego czasu nie przerwała go, w najskromniejszej choćby tylko mierze, nawet wielka twórczość szlachetnego idealisty, filozofa Kanta, który półtora wieku temu żył i uczył w Królewcu, rozwodząc się tam, jakby na ironię, nad tkwiącymi w człowieku przyrodzonymi prawami moralnymi. Nadaremnie! Kanta za jego poglądy na końcu życia fatalnie prześladowanego przez władze pruskie, przed stu kilkudziesięciu laty pochowano wspaniale w tumie królewieckim, ponurej, gotyckiej, podobnej do śpichlerza budowli z XIV wieku, a myśl pruska poszła swoją drogą. Z całej nauki mędrca dla praktycznego życia wzięto tylko kantowski kult wolnej woli z właściwą prusactwu nauką o obowiązku: „możesz, bo powinieneś". Potem jednak i ten imperatyw mocno się zachwiał. W roku 1921, pewnego dnia letniego, przed konsulatem polskim w Królewcu, przy Neue Dammstrasse, a opodal gmachu giełdy i bardzo ruchliwego Köttelbrücke, można było oglądać — wśród zbiegowiska gawiedzi — leżącego na ziemi w pełnym mundurze i przy szabli,

spitego do zupełnej utraty przytomności, policjanta pruskiego, który tak pojął przyjęty na siebie obowiązek czuwania na posterunku nad bezpieczeństwem współobywateli. Jakimi byli przekupni, drapieżni i zdolni do wszelkiej podłości Prusacy, poznaliśmy zresztą do syta w ciągu przeszło pięcioletniej okupacji Polski. Hitler nauczył ich tylko okrucieństwa dla okrucieństwa.

Stolica Prus Wschodnich ma nadzwyczaj pomyślne położenie geograficzne. I klimat lepszy, niż w reszcie kraju, i bliskość morza, i żeglowną głęboką rzeką, którą można było łatwo połączyć kanałem z ważną strugą Niemna, wreszcie takie położenie obronne, iż nieprzyjaciel, wkraczający do Prus Wschodnich, w marszu na stolicę, musi po drodze pokonać cały szereg bardzo poważnych przeszkód. Od południa tworzą je przeliczne jeziora i bagna mazurskie oraz ogromne puszcze leśne, od wschodu szereg rzek pobocznych Pregoły, wreszcie od zachodu dolna Wisła. Cała dogodność położenia Prus Wschodnich koncentruje się w stołecznym Królewcu. Bo i to zauważyć należy, że usadowił się on między dwoma hafami (Zalewami), Fryskim i Kurońskim, i tam, gdzie szeroko zabagniona Pregoła, najsilniej się zwężając, pozwalała, zwłaszcza w dawnych czasach, na łatwą przeprawę przy ruchu lądowym, idącym w kierunku południkowym. To idealne miejsce do rozpinania mostów i dzisiaj jeszcze, w wieku kolei, ma swoje znaczenie.

Miasto o podobnym położeniu powinno było od dawna zająć szczególnie ważne miejsce nad Bałtykiem, nawet przed Rygą i Sztokholmem, tym bardziej, iż Prusacy wszystko zrobili, aby dogodzić Królewcowi, poświęcając mu nawet interesy Gdańska, Kłajpedy i Elbląga. Pominąwszy liczne koleje, zbudowali kanał morski długości 33 względnie 46 km, który biegnie równolegle do północnego brzegu Zalewu Fryskiego od Piławy do ujścia Pregoły i nawet zanurzającym się głębiej okrętom pozwala z pełnym ładunkiem dotrzeć do samego miasta. Prócz tego osiem mostów z hydraulicznymi dźwigniami i obracalny most kolejowy, zapewniają do tego stopnia wszelkim

statkom swobodny przejazd, iż rzec można, uwijają się one między ulicami, zbiegającymi się do wieloramiennej Pregoły. Imponują też i nabrzeża. Dziś, po rozszerzeniu portu i wykopaniu nowych basenów, mają one kilka kilometrów długości.

To wszystko przecież nie potrafiło Królewcowi dodać życia. Miasto, choć zwiększało swą ludność, choć nawet dość budowało, rzecz prosta, z pomocą państwa, nie rozwijało się należycie i na ogół ubożało. Przed pierwszą wojną światową żyło ono głównie z handlu zbożem i drzewem rosyjskim. Po wojnie te czasy należały już do przeszłości, której nic i nikt nie potrafił wskrzesić, nawet urządzane periodycznie, a z wielkim namaszczeniem „królewieckie targi wschodnie", wyposażone w jak najdogodniejsze pomieszczenia i jak najusilniej reklamowane. Zapewne, że coś nie coś sprzedawało się przy tych okazjach, ale wielkie spichlerze zbożowe stały prawie puste, młyny przerabiały skromną część przemiału przedwojennego, a z importem drzewa było tak kuso, iż zaledwie go starczyło na potrzeby królewieckich fabryk celulozy. Albowiem ani w interesie Polski, mającej swój Gdańsk i Gdynię, ani też Litwy, zmuszonej popierać Kłajpedę, nie leżało pracowanie dla rozrostu Królewca i jego mieszczaństwa, które w dodatku, dysząc bezgraniczną nienawiścią do wszystkiego, co obce i nie pruskie, wprost nie pozwalało na to, aby Królewiec przyjął w siebie pewien procent cudzoziemców, bez których o jakimkolwiek handlu na większą skalę nie mogło być mowy. Prusacy chcieliby handlować i bogacić się, ale równocześnie nie opuścić ani na włos ze swoich pretensji do poniewierania innymi, a przede wszystkim pragnęliby cały zysk niepodzielnie zagarniać tylko do swoich kieszeni. Nie rozumieli innej formy handlu, jak tylko jednostronną eksploatację. Że zaś im się ona teraz nie udawała, bo eksploatować nie mieli tak dalece kogo, za swój los zmieniony winili nade wszystko Polskę, i to nie tyle z racji jej polityki, która wobec Prus Wschodnich, niestety, nie była ani dość konsekwentna, ani dość silna, ile wprost z samego tytułu jej istnienia. Widzieli, że Polska zagrodziła im drogę na wschód, a w pierwszej linii

do bogatej Ukrainy, skąd przed wojną szły ku Królewcowi masy zbóż i treściwych pasz. Potem tego wszystkiego nie było, a kolej żelazna Brześć Litewski-Białystok-Grajewo-Prostki-Królewiec, będąca niegdyś złotodajną żyłą, stopniowo posiadła całkiem tylko drugorzędne znaczenie.

Wielkie też rzeczy śniły się niegdyś, a zwłaszcza za czasów pierwszej wojny światowej, kupcom królewieckim, chcącym ową eksploatację wschodu Europy tak ugruntować i wzmocnić, aby ich port nad Pregołą raz na zawsze wyrósł do znaczenia głównego pośrednika między Ukrainą a państwami zachodnimi i północnymi. W myśl podobnych koncepcji traktat w Brześciu Litewskim odpychał wschodnią granicę ewentualnej Polski jak najdalej na zachód poza Białystok i Brześć, a podprowadzał jak najdalej na północ Ukrainę oraz nadawał potężne rozmiary południowej Litwie. Specjalne jednak widowisko „targu o skórę niedźwiedzią, który chodzi jeszcze po lesie", przedstawiał okres najbliższy po zawarciu pokoju brzeskiego, gdy Gdańsk i Królewiec prześcigały się w składaniu rządowi niemieckiemu projektów nowych dróg wodnych, prowadzących przez Polskę na Ukrainę.

Wszystkie te projekty przekreśliła doszczętnie klęska Niemców w obydwóch wojnach światowych, specjalnie dla Królewca najzupełniej niespodziewana. Miasto, w którym wszyscy ogarnięci byli jakąś mistyczną wiarą w wielkie posłannictwo niemczyzny na wschodzie, znalazło się nagle poza nawiasem piastowanych przez tyle lat marzeń o wielkich możliwościach rozwoju. „Ostpreussens deutsche Sendung" rozwiało się i zostały tylko rozmyślania nad tym, co było, co być mogło, no i co być może.

Punktem centralnym stolicy Prus Wschodnich jest stare zamczysko, które w różnych czasach przerabiane i dostawiane, w końcu na zewnątrz pod względem estetycznym przedstawiało się dość nieinteresująco. Kilka starych baszt, a między nimi szereg wcale pospolitych, przeważnie ponurych budowli, które obejmowały spory dziedziniec zamkowy. To wszystko! Nad zamkiem strzela w górę na wysokość 96 m nowa wieża

zamkowa w stylu nadwiślańskiego gotyku, wzniesiona w latach 1864 do 1866. Z całością budowy, raczej renesansową niż gotycką, nie jest ona jednak zgoła zharmonizowana i nie świadczy wcale o dobrym guście tych, którzy ją tu wznieśli. Lepiej już bez porównania, gdy idzie o nadbudowy w zamku królewieckim, spisali się Rosjanie. Na dwupiętrowym południowo-wschodnim skrzydle zamku, wystawionym przez Fryderyka I w latach 1705 do 1712, wznieśli oni, podczas okupacji Królewca za czasów wojny siedmioletniej, trzecie i czwarte piętro, stwarzając może najpiękniejszy, a w każdym razie najbardziej reprezentacyjny fragment budowli.

Praktyczni Niemcy pomieścili w zamku niektóre urzędy, no i rozumie się szynk winny „Blutgericht". W skrzydle zachodnim znajdowała się ogromna sala moskiewska, mierząca 83 m długości i 18 szerokości, a pod nią zupełnie nieciekawy, bo wyglądający jak duża sala klubowa, kościół zamkowy, gdzie w r. 1701 Fryderyk I włożył sobie koronę królewską na głowę. Skromnie przedstawiały się również i pokoje królewskie, choć może lepiej niż reszta. Pełno w nich wspomnień po otaczanej głębokim sentymentem prusactwa królowej Luizie, współczesnej Napoleonowi, który w zamku w r. 1812 przez jakiś czas przemieszkiwał.

Podzamcze od strony południowej, niegdyś malowniczy zakątek miasta, przerobili Niemcy na nudną nowożytną ulicę Kaiser Wilhelmsplatz, ze wspartym o narożną basztę zamku ogromnym posągiem Wilhelma I w stroju koronacyjnym i w koronie, a z potężnym mieczem w dłoni, którym jego cesarska mość niesamowicie fechtuje. Na owe gesty cesarza, jakby z pobłażaniem, patrzył znowu, zwrócony w jego stronę, a zajmujący środek placu, spiżowy Bismarck w uniformie kirasjera i w pikielhaubie. Ze stanowiska sztuki nie można sobie wyobrazićnic więcej nudnego, więcej sztywnego i więcej akademickiego nad te dwa pomniki. Owiewała je tylko bezdeń kasarniano-junkierskiej buty. Dla tego, kto by miał jakiekolwiek w tym względzie wątpliwości, znajdowała ona poza tym swój wyraz i w umieszczonym u stóp Bismarcka na-

pisie: „Wir Deutsche fürchten Gott, sonst nichts auf der Welt. — My Niemcy boimy się tylko Boga, zresztą niczego na świecie".

Tym smutniejsze można zaś snuć refleksje na temat rozwoju nowopruskich pojęć o sztuce, a specjalnie o rzeźbie, że w tej dziedzinie nie brak tam było w Królewcu niektórych rzeczy starszych a wartościowych. Za dzieło udane trzeba było np. uważać pomnik pierwszego króla pruskiego Fryderyka I, który przed stu kilkudziesięciu laty wyszedł z mistrzowskiej dłoni Andrzeja Schlütersa, oraz statuę Kanta, dłuta Raucha. Dobrych tych rzeźb spiżowych, może dlatego, że są stosunkowo małe i niepozorne, Prusacy jakby się jednak wstydzili. Pomnikowi Fryderyka I kazali stanąć wprawdzie w pobliżu zamku, ale na ustroniu pod murem kasarni, a Kanta schowano w krzaki Paradeplatzu. Środek tego placu, którego tło stanowi niebrzydki gmach uniwersytetu, zajmował natomiast 11 m wysoki pomnik Fryderyka Wilhelma III na koniu, w stroju koronacyjnym i z wieńcem laurowym na głowie, rzecz w całości bardzo przeciętna i jako dekoracja świątyni nauki, najzupełniej niewłaściwa.

Ciekawą część Królewca przedstawiała tzw. Lastadie, czyli kompleks starych malowniczych spichlerzy nad Pregołą. Niektóre z nich pamiętały jeszcze wiek XVII i służyły do dnia dzisiejszego w niezmienionym stanie. Interesujące były także, zachowane gdzieniegdzie, stare ulice z wąskimi, wysokimi domami, jak Magisterstrasse, okolice placu Gesekus, malownicze otoczenie starego uniwersytetu, dziś biblioteki miejskiej itd. Wszystko to, porównywane z Gdańskiem, od razu jednak pozwalało na zrozumienie, jak o wiele skromniejsza w przeszłości była rola stolicy książąt pruskich nad Pregołą i jak znacznie uboższe jej mieszczaństwo. Nie ma tu i śladu tego rozmachu i tego smaku artystycznego, który w Gdańsku bił z każdego kąta.

Ubogo również przedstawiają się tutejsze kościoły. O zamkowym i o katedrze w dzielnicy Kneiphofie wspomnieliśmy już wyżej. Teraz dodamy, że zajmuje ona miejsce wyjątkowe

wśród królewieckich domów Bożych i jest czymś w rodzaju Westminsteru wschodnio-pruskiego. Gdy w Malborgu prusactwo po r. 1772, niszcząc własną ręką w barbarzyński sposób tamtejszy zamek, pogruchotało także tablice pamiątkowe i grobowce Wielkich Mistrzów, to pogrzebani w Królewcu leżą w spokoju, a obok nich także książęta pruscy z ich familiami, dwaj książęta Holsztyńscy, znakomici ministrowie i reformatorowie, córka Melanchtona i inni. Wartościowe są również niektóre pomniki względnie tablice pamiątkowe wmurowane w ściany katedry, choć rozumie się, że mamy tu przeważnie do czynienia nie z dziełami rąk pruskich lub niemieckich, lecz mistrzów z Antwerpii i Amsterdamu. Inne miejscowe kościoły takimi rzeczami poszczycić się nie mogą, chyba tylko wyjątkowo. Nudne budowle, których przeciętność już z zewnątrz rzuca się w oczy w sposób tak obcesowy, że mało kogo zachęcają nawet do zwiedzania.

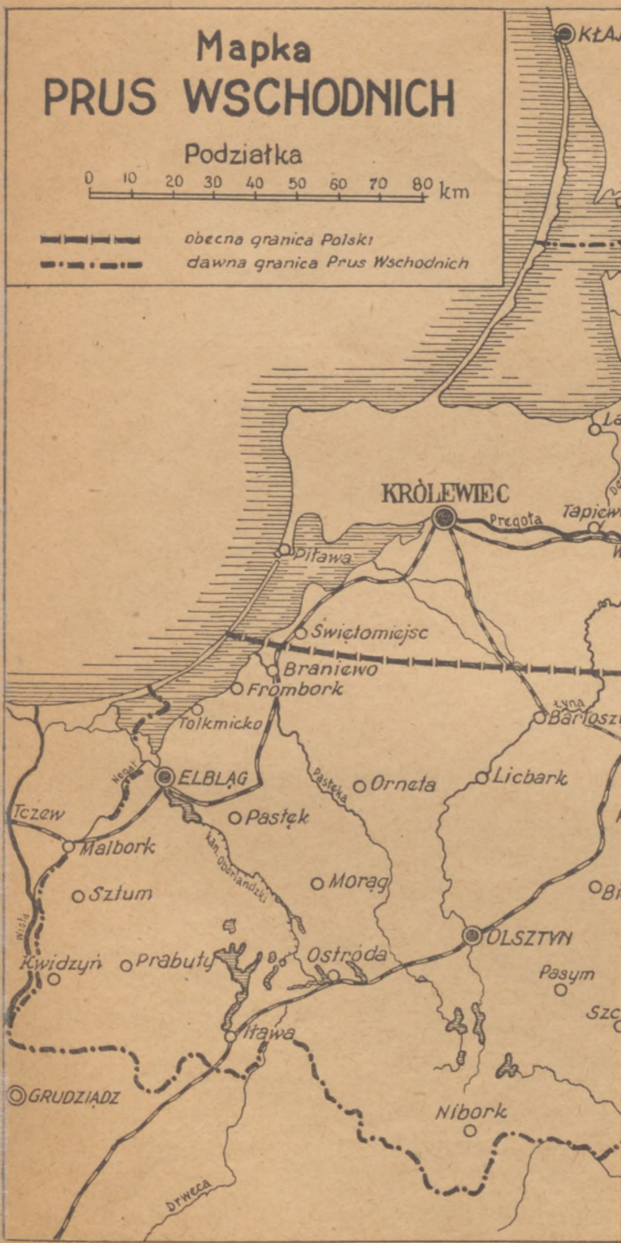
Królewiec jest miastem bez tradycji. Nie było tu ani dorocznych pochodów publicznych i procesji miast włoskich lub francuskich, ani czegoś w rodzaju krakowskiego „konika zwierzynieckiego", „rękawki" lub bodaj szopki. Po części pochodzi to stąd, że między pogańską tradycją staropruską, a późniejszymi czasami niemieckimi rozciąga się morze przelanej krwi i bezmiar popełnionych zbrodni, przy czym przeszłość zginęła bez reszty, nie doczekawszy się u zdobywców niczego więcej, jak tylko pogardy, a po wtóre Niemcy wschodnio-pruscy to nie jakiś jednolity żywioł kolonizatorski, ale zlepek najrozmaitszych grup etnicznych. Już za czasów Zakonu Niemieckiego osiadali tu na wschodnich rubieżach Bałtyku Frankowie, Turyngowie, Sasi, zgermanizowani Ślązacy, Szwabi i inni, potem zjawili się jeszcze Szwajcarzy i Niemcy austriaccy (z Salzburga). Wszyscy ci przybysze przyniesione z sobą elementy tradycji stopili bezpowrotnie w wschodnio-pruskim prowincjonalizmie, ten zaś, oderwany od pnia niemczyzny, nic własnego na polu kultury ludowej, zwyczajów i obrzędów stworzyć nie mógł, tym bardziej, że zdobywcy, eksploatatorzy i spekulanci tradycji w ogóle nie lubią. Co najwyżej tylko tam, gdzie

w pewnej okolicy osiadła większa masa ludzi jednego plemienia, przetrwały narzecza językowe.

I to położenie, ten proces zanikania własnych odwiecznych wspomnień przeszłości, doskonale wyzyskano ze strony czynników rządzących, bo w braku rodzimej tradycji podsunięto ludności jej surogat pod formą specjalnego i powracającego w najrozmaitszych formach mitu o władzy i władcy. Złączona z tym adoracja pierwiastka władczego doprowadzona została niemal do wyżyn kultu religijnego, i taki Fryderyk II lub królowa Luiza, gdy idzie o siłę emocjonalną tych imion, nie na żarty na gruncie wschodnio-pruskim mogą dziś jeszcze być przyrównywani do świętych Kościoła katolickiego. Istnieje Luisenbrücke, Luiseneiche, Luisenhaus, Luisenkirche, nawet Luisenpfahl przy dawnej drodze pocztowej, prowadzącej po mierzei Kurońskiej. Jest też i masa mniejszych bożków, jak Schenkendorf, Teodor v. Schön, Scharnhorst i inni. Każdy z nich, mówiąc słowami Schenkendorfa: „will predigen und sprechen vom Kaiser und vom Reich — chce wołać, głosić i mówić o cesarzu i państwie".

W Królewcu stał zawsze wielki ołtarz tego osobliwego, jedynego w swoim rodzaju nabożeństwa i tych jedynych w swym smaku tęsknot do mocnego harapa i kirasjerskich butów. Ugruntowany ponad wszelką wątpliwość, nie został skutecznie i trwale zachwiany ani przez pierwszą nieszczęśliwą wojnę światową, ani nawet przez rewolucję niemiecką. Co najwyżej, usunięto tylko niektóre aparaty kultu. Aż dziw jednak, jak niewiele. Dopiero teraz na ten zbrodniczy kram spadł zdaje się cios stanowczy i druzgocący. Rok 1945 zamknął w ten sposób długi okres nadbałtyckich dziejów, okres upodlania ludzi i wielkiego pasma zbrodni.

SPIS RZECZY



Mapka
PRUS WSCHODNICH
Podziałka
0 10 20 30 40 50 60 70 80 km
obecna granica Polski
dawna granica Prus Wschodnich
KRÓLEWIEC
Pregoła
Piława
Świętomiejsc
Braniewo
Frombork
Tolkmicko
ELBLĄG
Nogat
Tczew
Malbork
Sztum
Wisła
Kwidzyń
Prabuty
Pastęk
Pasłęka
Orneta
Morąg
kan. Oberlandzki
Ostróda
Iława
GRUDZIĄDZ
Drwęca
Licbark
Łyna
OLSZTYN
Pasym
Nibork


Mapka
PRUS WSCHODNICH
Podziałka
0 10 20 30 40 50 60 70 80 km
obecna granica Polski
dawna granica Prus Wschodnich
KŁAJPEDA
Szyłokarczma
TYLŻA
Niemen
Szeszupa
Łabiawa
Dejma
Wystruć
KRÓLEWIEC
Pregoła
Tapiewo
Welawa
WYSTRUĆ
Gąbin
Piława
Węgorapa
kanał
Gierdawy
Gołdap
Świętomiejsc
Braniewo
Frombork
mazurski
Węgobork
Tolkmicko
Łyna
Bartoszyce
J. Mamry
Olecko
Nogat
ELBLĄG
Pasłęka
Orneta
Licbark
Rastembork
Lec
Tczew
Pasłęk
Reszel
Malbork
kan. Oberlandzki
Ządzbork
Etk
Sztum
Morąg
Biskupiec
Orzysz
Wisła
Śniardwy
OLSZTYN
Kwidzyń
Prabuty
Ostróda
Pasym
Biała
Jańsbork
Szczytno
Iława
GRUDZIĄDZ
Pisa
Nibork
Narew
Omulew
Drwęca

Cat. Cz[illegible]
Cat. Cz[illegible]
Cat. Cz[illegible]

Cena 68.— zł

PZWS